W. B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: WITOLD KAKOWSKI *„Perła Bałtyku" bez oprawy* ● JAN HUSZCZA *Pomocnik stolarza* ● MICHAŁ STRZELECKI *Sport w szkole* ● MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN *Łyżka* ● *Recenzje* ● *Felietony* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

39 (723)
26. IX. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO OBOJĘTNOŚĆ

JACY JESTEŚMY? Czy naprawdę jesteśmy tak mało zdyscyplinowani? I dlaczego? Te pytania zadaje sobie każdy myślący Polak, kiedy wypoczywając może obserwować rozluźnionych i odprężonych rodaków. Bo prawdziwy, choć karykaturalny obraz naszego społeczeństwa najlepiej można zobaczyć w okresie dwu wakacyjnych miesięcy, kiedy przestają działać wszelkie hamulce, kiedy Polak wyzwala się ze stereotypów, norm i zasad i jak dawni przodkowie „na zagrodzie jest równy wojewodzie". Przyjechał wypoczywać za własne pieniądze. Zostały mu tylko wymagania, obowiązki zostawił w miejscu pracy.

Pisano już o tym niejednokrotnie. Znamy to wszyscy z własnej, wcale niewesołej praktyki. Spójrzmy jednak na siebie jeszcze raz, ale tym razem pod kątem społecznych przyczyn i skutków naszych anarchistycznych upodobań.

1.

Zaczyna się wszystko od podróży. Na przełomie czerwca i lipca, w połowie lipca, na przełomie lipca i sierpnia w połowie i pod koniec sierpnia PKP i PKS przeżywają tzw. urlopowe szczyty. Z niebotycznego chaosu podróżujących wyłania się wcale niewesoły obraz naszego społeczeństwa.

Ostatniego dnia lipca br. na Dworzec Kaliski wjechał pociąg nr 1524 z Łodzi do Gdyni, odchodzący o godz. 20,25. Pociąg wjechał na stację już... pełny. Wielu co przezorniejszych i mało zdyscyplinowanych pasażerów odszukało go na bocznych torach i zajęło miejsca. Na bocznicach PKP stały też inne pociągi pełne już ludzi. A przecież na dworcu tym jest milicja, każdy pociąg ma drużyny konduktorskie. Wszyscy oni z racji pełnionych funkcji zobowiązani są do utrzymywania porządku. Tak jednak myślą tylko ludzie naiwni.

W tym samym pociągu w przedziale pierwszej klasy zamknęło się kilka osób i nie chciało umożliwić tłoczącym się na korytarzu pasażerom złożenia na półkach walizek. Bo półki — ich zdaniem — były już pełne, choć było to oczywistym kłamstwem. Poproszona o interwencję konduktorka ze służbowym numerem 5077 — spokojnie odmówiła.

Dalszy ciąg na str. 5

KAROL BADZIAK

WYWŁASZCZANI

Za trzy lata Łódź przeżyje swoje wielkie święto. Wartkim strumieniem popłynie w naszym kierunku woda z Pilicy. Prawie milion ludzi odetchnie w tym dniu z ulgą, a największe szczęście przeżyją ci z najwyższych pięter. Ale na razie z tego samego powodu, z którego za niespełna trzy lata milion będzie się radował, kilkaset osób przeżywa swój dramat. Oczywiście mam na myśli ludzi zamieszkałych tam, na miejscu, na obszarze, który zostanie zatopiony. Będą bowiem musieli oni opuścić ziemię, gdzie się urodzili, mieszkali i pracowali. Takie operacje już od niepamiętnych czasów były bolesne. Fakt, że odbywają się one zwykle w imię postępu i w interesie szeroko pojętego dobra, wcale tego dramatu nie pomniejsza. Co najwyżej uspokaja wyrzuty sumienia wywłaszczających. Ból wywłaszczonych koi natomiast bardziej ekwiwalent finansowy, niż świadomość uczestniczenia w zbożnym dziele realizacji pięknej idei postępu i cywilizacji.

Na tysiąc osób objętych wywłaszczeniem w rejonie przyszłego zbiornika wodnego, zaledwie jeden właściciel wyraził chęć polubownego załatwienia sprawy. W stosunku do reszty stosuje się ustawę o przymusowym wykupie. W sensie finansowym różnicy żadnej nie ma, ale w sensie proceduralnym jest to robota monstrualna. Proszę sobie wyobrazić prowadzenie tysiąca spraw egzekucyjnych i to w dwu województwach, jako że przyszłe „morze sulejowskie" leży na pograniczu Łódzkiego i Kieleckiego. Tysiące biurokratycznych potyczek i tysiące krążących pism. Chłop nie jest petentem łatwym i biernym, wcale nie ma zamiaru ułatwiać życia urzędnikom. Zresztą urzędnicy odpłacają się pięknym za nadobne. Walka toczy się ostra, choć urzędowa i z poszanowaniem wszelkich reguł, czyli przepisów. Ostra i praworządna.

A tymczasem w pobliżu zapory w Smardzewicach, w samym centrum zbiornika wodnego stoją jeszcze dwa gospodarstwa, dwie „placówki", których obecność hamuje postęp prac ziemnych. W jednej „placówce" okopało się małżeństwo Psutów, w drugiej — rodzina Zająców. Nawet tow. Gierek podczas swej wizyty na terenie budowy zwrócił uwagę na te chałupy.

Rzecz polega na tym, że cały ten obszar ze względów hydrogeologicznych wykłada się olbrzymim dywanem z folii. Folię przykrywa się z kolei grubą warstwą ziemi. Dno zbiornika i skarpy w pobliżu zapory oczyszczono już w zasadzie z drzew, krzewów, pozostały tylko obydwie chałupy. Buldożery i spycharki spokojnie je na razie omijają, lecz nie ulega wątpliwości, że pewnego pięknego dnia cierpliwość budowlanych się skończy i zmiażdżą, zmiotą domostwa z powierzchni ziemi.

Kierownik grupy robót Hydrobudowy — 1, inż. Antoni Gaertig, stwierdza: „Te dwa budynki bardzo nam przeszkadzają w robocie i opóźniają oddanie zapory w terminie. Sprawa jest skandaliczna".

Kierownik Działu Wywłaszczeń, mgr Zbigniew Rybiński: „Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, lecz chłopi są uparci, zdają sobie sprawę, że będą musieli stąd odejść, wyprowadzić się, chcą wywalczyć więc jak najwięcej. Jeśli chodzi o Stanisława Psuta, to bank w Tomaszowie nam zawalił sprawę. Psut, to właśnie ten jeden z tysiąca, z którym polubownie załatwiliśmy wykup gospodarki. Ustawa o wywłaszczeniach licząca sobie akurat trzynaście feralnych lat, mówi, że w takich wypadkach właściciel otrzymuje pierwszą ratę w wysokości 50.000 zł. Resztę spłat rozkłada się na lata. W przypadku, gdy się właściciel nie zgadza na polubowne załatwienie, pierwsza rata wynosi tylko 15.000 zł. Całość gospodarki Psuta wyceniona została przez rzeczoznawców na 115.000 zł, więc miał otrzymać prawie połowę całej sumy. Ale przepisy bankowe mówią, że tylko wtedy, kiedy się sam buduje. Tymczasem chłop liczy sobie 64 lata, więc nowy budynek wznosi na na-

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Intuicja nie zawiodła komentatorów. Wizycie kanclerza Brandta w Związku Radzieckim przypisywali duże znaczenie i nie zawiedli się. Opublikowany komunikat o spotkaniu szefa rządu zachodnioniemieckiego z sekretarzem generalnym KC KPZR — Leonidem Breżniewem zasługuje na uważną analizę i obszerniejsze skomentowanie — stanowić bowiem może o rzeczywistym postępie nie tylko we wzajemnych stosunkach, ale także o dalszym, istotnym kroku w kierunku europejskiego odprężenia.

Co upoważnia do zakwalifikowania krymskich rozmów do rzędu najważniejszych? Treść i ton komunikatu. Oto jego główne elementy:

— zawarty w sierpniu ub. r. układ między ZSRR i NRF już obecnie przyczynia się do poprawy klimatu politycznego w Europie

— wejście w życie w najbliższym czasie tego układu, jak również układu z Polską pozwoli na zdecydowany zwrot w stosunkach między zainteresowanymi krajami

— rozwój sytuacji w tym kierunku odpowiada celom i zamierzeniom ZSRR i NRF

— oba kraje będą ciągle pracować nad przezwyciężeniem nawarstwień przeszłości

— podpisane 3 września czterostronne porozumienie berlińskie stanowi wielki krok na drodze rozładowania napięcia

— rozwijająca się obecnie sytuacja ułatwia zwołanie ogólnoeuropejskiej konferencji z udziałem USA i Kanady, obie strony będą działały na rzecz przyspieszenia jej zwołania

— w kwestii ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie istnieją wspólne elementy w stanowiskach obu stron, które uważają, iż przyszłość naszego kontynentu trzeba kształtować „nie na drodze wzajemnego przeciwstawiania sobie państw w dziedzinie militarnej", lecz w oparciu o równoprawną współpracę

— obecnie jest możliwe unormowanie stosunków między NRD i NRF na zasadzie równouprawnienia, jednym z ważnych kroków w tym kierunku będzie przystąpienie obu państw niemieckich do ONZ i jej wyspecjalizowanych agend

— praktyka wzajemnych konsultacji w kwestii stosunków dwustronnych i międzynarodowych jest pożyteczna i będzie kontynuowana. Ministrowie spraw zagranicznych obu krajów spotkają się na jesieni w Nowym Jorku, a następnie w Związku Radzieckim.

W dziedzinie kontaktów dwustronnych komunikat stwierdza istnienie ogromnych możliwości rozwijania współpracy i zapowiada rozszerzenie stosunków handlowych, kontaktów naukowo-technicznych, kulturalnych, sportowych, a także wymiany między organizacjami młodzieżowymi — przez jak najszybsze zawarcie odpowiednich porozumień.

Zwróćmy szczególną uwagę na dwa momenty komunikatu: zapowiedź wejścia w życie w najbliższym czasie układów sierpniowego i grudniowego, co oznacza potwierdzenie szybkiej ich ratyfikacji oraz możliwość obecnie unormowania stosunków między dwoma państwami niemieckimi.

Kiedy przed rokiem podpisane zostały układy ZSRR — NRF i Polska — NRF na drodze do ich realizacji piętrzyły się ogromne trudności. Opozycja bońska przypuściła generalny atak na porozumienia. Rząd Brandta związał ratyfikację układu z ZSRR z postępem rozmów w sprawie Berlina zachodniego.

Ale równocześnie toczyły się rozmowy ambasadorów czterech mocarstw. Przebiegały trudno, okresy postępu przeplatały się z sytuacjami impasowymi. Punkt po punkcie dyskutowano i uzgadniano tekst porozumienia. Finał nastąpił 3 września. Konsekwentna polityka radziecka, domagająca się respektowania międzynarodowych ustaleń i uznania realiów, przyniosła sukces. Porozumienie określiliśmy jako najdonioślejsze po Układzie Poczdamskim. Pisaliśmy wtedy, że będzie ono korzystnie wpływać na proces europejskiego odprężenia. Ratyfikacja układów, znormalizowanie stosunków między NRD i NRF, konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy — to niezbędne etapy tego odprężenia. Komunikat z rozmów krymskich etapy te potwierdza i przyśpiesza. W jego tekście powtarzają się słowa: obecnie, w najbliższym czasie, powstały przesłanki... Choć więc w toku rozmów nie uzgodniono terminów i w komunikacie nie określono czasu ani ratyfikacji, ani tym bardziej ogólnoeuropejskiej konferencji — jesteśmy pewni, że zostały one przybliżone.

Komunikat ponadto angażuje obie strony do konkretnego działania. Choćby w słowach: „Związek Radziecki i Republika Federalna zamierzają przeprowadzić w najbliższym czasie konsultacje wzajemne, ze swoimi sojusznikami i z innymi państwami europejskimi, aby przyspieszyć przeprowadzenie takiej konferencji" (mowa o konferencji ogólnoeuropejskiej — przyp. W. S.). A więc obie strony nie tylko uznają takie międzynarodowe spotkanie za celowe, ale również będą aktywnie je przygotowywały, przyspieszając tok przygotowań. To są niezmiernie ważne postanowienia — konkretne i zobowiązujące.

Nie znam jeszcze reakcji światowej na wynik krymskich rozmów kanclerza Brandta. I nie znam stanowiska zachodnioniemieckiej opozycji. Będą one z pewnością na miarę postanowień. A miara ta jest naprawdę duża i perspektywiczna.

W. SŁAWSKI

U stóp Czomolungmy

„LIFE" — NOWY JORK

Obecny rok był tragiczny dla alpinistów szturmujących Himalaje. Z szesnastu ekspedycji, które podjęły próbę zdobycia najwyższych szczytów, jedenaście skończyło się niepowodzeniem. Pięciu alpinistów straciło życie. Również najbardziej reprezentatywna ekspedycja, która postawiła sobie za cel pokonanie szczytu Czomolungmy (Mount Everest), zakończyła się dramatyczną klęską.

Czomolungma została zdobyta w 1953 roku. Od tego czasu na jej wierzchołek zdołało wejść zaledwie 23 ludzi, forsując południową przełęcz lub trasę przez grzbiet zachodni. Szlak przez południową przełęcz jest długi i uciążliwy, a prowadzący grzbietem zachodnim, sforsowanym przez Amerykanów w 1963 roku, jest jeszcze bardziej skomplikowany.

Jednakże alpinistów pociąga przede wszystkim niemal pionowa, południowo-zachodnia ściana Czomolungmy, po której dotychczas nie udało się jeszcze nikomu zdobyć wierzchołka. Wspinaczka po południowo-zachodniej ścianie była więc głównym celem ekspedycji, zorganizowanej przez 53-letniego Amerykanina szwajcarskiego pochodzenia, Normana Direnfurta.

Niektórzy gwiazdorzy alpinizmu międzynarodowej klasy, których Direnfurt zaprosił do wzięcia udziału w tej trudnej imprezie, mieli około 40 lat, a inni byli jeszcze starsi. Przyjęto drugi wariant marszruty, mniej uciążliwej, mianowicie — po grzbiecie zachodnim. Plan ten otwierał przed Djrenfurtem perspektywę urzeczywistnienia starego marzenia: po raz pierwszy na szczyt Czomolungmy wejdzie kobieta. W historii alpinizmu zajęłaby ona co prawda skromne miejsce, niemniej fakt ten zostałby odnotowany. Direnfurt miał doskonałą kandydatkę do odegrania tej roli — szwajcarską alpinistkę, Ivette Boche.

32 LUDZI Z 11 KRAJÓW

Liczba chętnych do wzięcia udziału w tej ekspedycji alpinistycznej szybko rosła. Roberts — drugi kierownik ekspedycji — zaprosił dwóch Anglików, 37-letniego Dona Williansa i 29-letniego Douglasa Hestona. Za zgodą Direnfurta przybyło także trzech amerykańskich alpinistów: John Evans, David Eyls i Harry Colliwer.

W składzie tej grupy alpinistycznej znalazł się również francuski polityk Pierre Maso, przedstawiciel paryskiej finansjery przemysłowej we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Maso mówił otwarcie o korzyściach, jakich się spodziewa, biorąc udział w wyprawie na Czomolungmę. Liczył on mianowicie na to, iż w wypadku pomyślnego zakończenia ekspedycji sięgnie po tekę ministra do spraw młodzieży i sportu.

„Obecnie ma dla mnie znaczenie jedynie wierzchołek tej góry" — powtarzał stale Maso.

Włochy reprezentował Carlo Mauri, badacz, fotograf i przewodnik górski.

Do ekspedycji weszło też dwóch młodych Norwegów — Udd Eliassen i Ion Taigland oraz dwóch japońskich alpinistów — Naomi Uemura i Reidzo Ito. Część grupy, mówiąca po niemiecku, składała się z Tony Hibelera, Leo Schleummera i Wolfganga Axta. Axtowi wykładowcy matematyki w wyższej uczelni niedaleko Linzu, było sądzone odegrać dramatyczną rolę w mających się dopiero rozegrać tragicznych wydarzeniach.

Całkiem sensowne było włączenie do ekspedycji indyjskiego alpinisty, jako że Indie utrzymują ścisłe stosunki z Nepalem, a ciężki sprzęt ekspedycyjny trzeba było wieźć po lądzie od Bombaju aż do Katmandu. Hindusi zaproponowali Harsza Bahugunę, majora wojsk indyjskich, który brał już udział w ekspedycji na Czomolungmę w 1965 roku, kiedy to grupa dziewięciu ludzi nie zdołała osiągnąć szczytu góry, znajdując się od niego zaledwie o 280 metrów.

W skład grupy wchodziło także ośmiu pracowników brytyjskiej kompanii radiowej BBC. W sumie było nas 32 ludzi z 11 krajów, mówiących ośmioma językami plus 42 Szerpów, którzy mieli transportować ciężki sprzęt ekspedycyjny na wysokogórskich odcinkach trasy, oraz cała armia innych tragarzy, niezbędnych do transportu 32 ton całego innego bagażu.

Już na samym początku wyprawy, kiedy zaledwie zaczęliśmy wspinaczkę przez przedgórza Himalajów, wyłonił się cały szereg kontrowersji. Wszystkich interesował głównie problem, kto będzie zdobywał szczyt, a kto będzie grał rolę wspomagającą. W obozie, rozbitym w odległości 32 kilometrów od Czomolungmy, Direnfurt próbował rozwiać niektóre z tych wątpliwości.

„W naszej ekspedycji nie ma „gwiazd", znajdujących się na uprzywilejowanych pozycjach" — powiedział otwarcie, chociaż nie całkiem przekonywająco. — „Nikt nie został specjalnie wyznaczony do zdobywania szczytu i nikomu nie poruczono wykonania funkcji pomocniczych".

W jednym Direnfurt miał całkowitą rację: wszyscy powinni sobie wzajemnie pomagać, a przecież tą pracą pomocniczą nikt nie chciał się zająć.

22 marca rozbiliśmy obóz bazowy na lodowcu Khumbu, w tej części wysokogórskiej doliny, o tej samej nazwie, która wznosi się aż do podnóża Czomolungmy.

OBÓZ NA ZACHODNIM CYRKU

24 marca Willians i Heston pierwsi wspięli się po lodowcu. Następnego dnia w ślad za nimi wyruszyli Bahuguna i Axi. Bahuguna dysponował techniką wspinaczki znacznie gorszą niż Axt. Niemniej Axt wyraził życzenie wspinaczki przy pomocy lin właśnie z Bahugunę, motywując to tym, iż Hindus imponuje mu swoją godnością, spokojem i energią, chociaż nie stoi na wyżynach finezyjnej wspinaczki europejskich alpinistów. Pogoda nie sprzyjała wspinaczce: przez cały niemal dzień walił śnieg. 3 kwietnia główna część grupy przetarła drogę przez lodowiec. Na gigantycznym kawałku lodu, otoczonym ze wszech stron bezdennymi przepaściami, rozbito obóz nr 1.

5 kwietnia Heston, Willians, Mauri, Axt i Bahuguna weszli na Zachodni Cyrk. Trasa ta wynosi około trzech kilometrów i wymaga od alpinisty ogromnego napięcia fizycznego i psychicznego. Na każdym kroku czyhają na niego zasypane śniegiem przepaście. Grupa wybrała miejsce na obóz nr 2, na wysokości 6.500 metrów. Zachodni Cyrk jest miejscem dzikim i opustoszałym, które przygnębiająco działa na nastrój. We dnie, otaczające go wysokie, ośnieżone ściany odbijają promienie słoneczne, co powoduje potworny żar. Światło słoneczne i pełny wachlarz promieni ultrafioletowych, których nie zatrzymuje rozrzedzone powietrze górskie, pali odsłoniętą skórę niczym rozżarzone żelazo. W nocy, albo kiedy słońca nie widać, ziąb jest tak potworny, że twarz dosłownie przymarza do śpiwora. Nawet bardzo nieznaczny wysiłek, jak na przykład zawiązanie sznurowadła w bucie, czy nałożenie kurtki, wywołują męczącą zadyszkę. Powietrze na tej wysokości tak wysusza gardło, że po pewnym czasie zaczyna ono krwawić i nie goi się przez cały czas pobytu na tej wysokości.

Od obozu nr 2 szlaki alpinistów rozchodziły się w różne strony. Grupa, do której wchodził Francuz, Włoch i Szwajcarzy, rozpoczynała przygotowania do zaatakowania zachodniego grzbietu, zaś grupa pozostałych alpinistów — do wspinaczki po stromej ścianie południowo-zachodniej.

6 kwietnia Willians i Heston zaczęli wspinaczkę po niemal pionowym stoku lodowym, mocując liny już od podstawy tej ściany w ten sposób, aby przy ich pomocy mogli się wspinać pozostali alpiniści. 12 kwietnia znaleźli wygodną półkę na założenie obozu nr 3, na wysokości 7.000 metrów, a do 15 kwietnia weszli jeszcze o 300 metrów wyżej od tego miejsca.

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE...

Wieczorem, 17 kwietnia, w namiocie Normana Direnfurta, zjawiła się delegacja. Pierre Maso, Carlo Mauri oraz Ivette i Michel Boche złożyli oświadczenie, wyglądające na ultimatum. Powiedzieli oni, że wejście ich marszrutą przygotowuje się zbyt wolno. Są zdania, iż należy bezwarunkowo zwiększyć liczbę Szerpów, dźwigających liny, żywność, namioty i tlen należące do ich grupy. W przeciwnym razie od pomysłu z forsowaniem grzbietu należy odstąpić i cały wysiłek skoncentrować na wejście szlakiem klasycznym, to jest południową przełęczą, która — jak wiadomo — jest znacznie łatwiejsza.

Alpiniści, którzy z tym przyszli do Direnfurta, utrzymywali, iż sprawą dla nich najważniejszą w tej wyprawie jest to, żeby Francuz, Włoch i kobieta pierwsi dokonali wejścia na szczyt Czomolungmy. Dlatego tak mocno nalegają na wejście przez południową przełęcz, które stwarza większe szanse powodzenia.

Direnfurt uprzejmie wysłuchał tych argumentów, ale nie został przekonany. Powiedział, że ekspedycja bynajmniej nie została zorganizowana dlatego, aby osiągnąć szczyt Czomolungmy po „wydeptanej" trasie przez południową przełęcz. A co się tyczy kłopotów z dostawą sprzętu i produktów żywnościowych, to jedyne realne rozwiązanie widzi Direnfurt w tym, żeby sprzęt ten nieśli sami alpiniści, jak to jest w zwyczaju wszystkich analogicznych ekspedycji w Himalajach.

(c.d.n.)

Uciążliwy opiekun

„DAILY TELEGRAPH" — LONDYN

Wielka Brytania przerzuciła na Maltę oddziały dywersyjno-desantowe piechoty morskiej w sile 750 ludzi, nie bacząc na to, iż nowy premier wyspy — Mintoff — wystąpił z żądaniem rewizji anglo-maltańskiego porozumienia obronnego. Główne siły tych oddziałów będą skierowane na Maltę nieco później z portu Plymouth, na lotniskowcu „Bulwark".

Anulowanie anglo-maltańskiego porozumienia obronnego, zawartego na okres 10 lat, byłoby ciężkim ciosem zarówno dla Anglii, jak i dla strategicznej pozycji NATO na obszarze Morza Śródziemnego. Brytyjskie siły zbrojne, stacjonujące na Malcie zostały zredukowane w okresie rządów labourzystowskich, później jednak znów je zwiększono. Obecnie liczą one dwa tysiące żołnierzy. Ponadto stacjonuje tam eskadra samolotów wywiadowczych Marynarki Wojennej, odkomenderowana z jednostek NATO oraz eskadra samolotów wywiadowczych typu „Camberra". Liczba żołnierzy piechoty morskiej miała być w tym roku zredukowana do 400 ludzi. Oczywiście sytuacja ta uległa teraz zmianie.

Brytyjskie wydatki wojskowe na Malcie wynoszą około 11 milionów funtów szterlingów rocznie. Na Malcie znajduje się sztab wojsk brytyjskich oraz jednostki techniczne, zajęte głównie obsługą zawijających tutaj brytyjskich okrętów wojennych. Zakres tych prac zwiększył się w związku z przybyciem na Maltę eskadry stawiaczy min oraz lotniskowca desantowego, odkomenderowanych z sił Zachodniej Śródziemnomorskiej Floty Wojennej.

W tych dniach do portu, sąsiadującej z Maltą, wyspy Goco zawinie stawiacz min VI Floty Amerykańskiej.

Warto na koniec dodać, iż w pobliżu La Valletty kwateruje sztab sił zbrojnych NATO w Południowej Europie, mimo, iż pomiędzy NATO i Maltą nie istnieje w tym przedmiocie jakiekolwiek porozumienie. Sztab NATO rozlokowano tutaj jeszcze przed ogłoszeniem niepodległości Malty w roku 1964 i — praktycznie rzecz biorąc — Malta może położyć temu kres w każdej chwili.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **KAROL BADZIAK — Góralskie tańce**
- **ROMAN ŁOBODA — Coś musi się zdarzyć**
- **APOLONIUSZ ZAWILSKI — Bitwa nad Bzurą**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Fot. G. Puciato

WYWŁASZCZANI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

zwisko syna. Pieniądze starego, a budynek syna — bank na to nie poszedł. Zresztą czy można wybudować dziś dom nawet za 50.000 zł? Ustawa jest przestarzała, przepisy nie nadążają za życiem i stąd wynika tyle trudności. Wysłałem pismo do władz z propozycją uproszczenia i uregulowania tych spraw.

Stanisław Psut: „Dają mi 115.000 złotych i to nie w garść, tylko na raty, chcą mi kapać latami Obliczyłem sobie, że powinni mi dać 140.000 zł."

Rzecz rozbija się więc o 25.000 zł, a z powodu zahamowania robót ziemnych straty mogą wynieść setki tysięcy.

Z drugą gospodarką sprawa jest o tyle łatwiejsza, że Jan Zając nie jest prawowitym właścicielem ziemi, tylko dzierżawcą. Ziemia należy do PFZ, a budynek kupił on przed dziesięcioma laty, rzekomo na rozbiórkę. Inna sprawa, że mieszka w nim do tej pory. Spór toczy się więc o mieszkanie zastępcze. Proponują mu budynek w Swolszewicach, lecz Zając nie chce, gdyż za dwa lata właśnie tamten teren zostanie zatopiony i musiałby się ponownie gdzieś przeprowadzać. Zającowa napisała do I Sekretarza KC prośbę o pożyczkę 100.000 zł na budowę nowego domu. Mnie wiadomo jest, że Zającowie sobie już ten nowy dom budują, a ze starego wyprowadzić się nie chcą, tylko dlatego, że oczekują na ową pożyczkę.

Wydaje mi się, że przy tak wielkiej budowie inwestor powinien otrzymać wyjątkowe pełnomocnictwa i większą samodzielność w sprawach wywłaszczeniowych i odszkodowań. Władze łódzkie i wojewódzkie bardziej zainteresowane budową tego zbiornika wodnego, o wiele szybciej i sprawniej załatwiają te skomplikowane i zawiłe sprawy, natomiast władze województwa kieleckiego, mówiąc delikatnie, nie przejmują się nimi zbytnio.

Świadectwem lekceważenia i ignorowania tych problemów przez niektóre urzędy jest historia właściciela z USA. Tak się bowiem składa, że kilku właścicieli nadpilicznych łąk mieszka za granicą. Otóż przyjechał on akurat do kraju na urlop i była okazja, żeby mu natychmiast, tu na miejscu, odszkodowanie wypłacić w złotówkach. Tym bardziej, że wyraził na to zgodę. Przebywał w Polsce dwa miesiące, lecz tak długo mitrężono, że w końcu człowiek wyjechał, a skarb państwa będzie musiał wypłacić mu odszkodowanie w dewizach. Pomijam już straty moralne, gdyż kilkakrotnie wzywano go do różnych urzędów, odprawiano z kwitkiem, w końcu się zdenerwował, naurągał nawet kierownikowi działu wywłaszczeń i wyjechał z żalem w sercu, podejrzewając zapewne, że władza ludowa wykiwała go ze złej woli. My wiemy, że to nie władza ludowa i nie zła wola, lecz bezduszność i bezmyślność jakiegoś urzędniczyny. Ale skąd on ma o tym wiedzieć?

Podobnie wygląda rzecz ze starym gospodarzem w Smardzewicach, Józefem Plichtą, któremu Piotrkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane stratowało pojazdami mały lasek. Wjechano do cudzego lasu bez uprzedzenia, bezprawnie i co najciekawsze — bez potrzeby i urządzono tam magazyn materiałów budowlanych. Chłop napisał skargę do dyrekcji przedsiębiorstwa. W odpowiedzi naczelny inżynier PPB, Zdzisław Kopka, odpisał mu:

„Odpowiadając na pismo Obywatela w sprawie żądania odszkodowania za szkodę w lesie, rzekomo spowodowaną przez nasze przedsiębiorstwo, wyjaśniam ostatecznie, że ewentualne szkody nie powstały z naszej przyczyny (...) Jednocześnie zwracamy uwagę, że w naszej ocenie wartość straty w poszyciu leśnym na działce Obywatela jest zupełnie problematyczna, w związku z czym wysokość ewentualnego odszkodowania należy podać w oparciu o szczegółowe wyliczenie biegłego fachowca, zwłaszcza wobec faktu, że w stanie zadrzewienia szkody nie występują. Następnie, jeśli Obywatel nie życzy sobie, aby z tej drogi nie korzystały ewentualnie przedsiębiorstwa w dalszym ciągu, lub inne osoby fizyczne, należy drogę zamknąć, przekopać i postawić wiechę. Należy jednakże rozważyć, w jakim stopniu ewentualne zamknięcie drogi przez Obywatela może skomplikować sytuację, jeżeli chodzi o interes społeczny, który wynikać będzie z zaspokojenia potrzeb transportowych przedsiębiorstwa Hydrobudowa — 1.

Jeżeli chodzi o nasze przedsiębiorstwo droga ta jest nam absolutnie niepotrzebna... a sprawę odszkodowania między naszym przedsiębiorstwem a Obywatelem należy uważać za całkowicie zakończoną i wyjaśnioną".

A teraz poczytajmy, co na ten temat ma do powiedzenia naczelny inżynier Zarządu Inwestycji, Ryszard Morawski:

„Zarząd Inwestycji stwierdza, że prowadzący roboty w Smardzewicach bezpostawnie wszedł na działkę leśną ob. Józefa Plichty, powodując tam szkody. Wykonawca powinien prowadzić roboty i poruszać się transportem na budowie tylko na terenie przekazanym przez inwestora.

Przewlekanie tego rodzaju spraw powoduje dodatkowe zadrażnienia z właścicielami gruntów oraz może spowodować dochodzenie roszczeń przez nich wraz z odsetkami, co grozi wzrostem odszkodowań".

Sprawa ta ciągnie się już rok cały, krążą pisma, trwa biurokratyczny ping-pong, a sprawca, czyli PPB w Piotrkowie kpi sobie z chłopa w żywe oczy. Józef Plichta liczy sobie około 80 lat i nie ma ani siły ani nawet większej chęci procesować się z przedsiębiorstwem. Czy nie wstyd wam panowie z trybunalskiego Piotrkowa? Dodam jeszcze, że kilka tygodni temu spłonął Plichcie cały dobytek. Należałoby więc chyba bardziej po ludzku potraktować skargę tego gospodarza, choćby nawet te szkody w poszyciu leśnym wydały się przedsibiorstwu „problematyczne".

Akcję wywłaszczeniową najdotkliwiej w ogóle odczuwają ludzie starzy. A tych jest właśnie w tym rejonie większość. Wprawdzie zupełnie pod wodą znajdzie się zaledwie 46 gospodarstw, ale setki właścicieli utraci łąki. Najdrastyczniej sytuacja wygląda w Podklasztorzu. Mieszka tam sporo samotnych, starszych kobiet i mężczyzn, wdowców i wdów. Utrzymują się oni nie tyle z uprawy ziemi, co z łąk, z hodowli. Władysław Pawlusiński z jednego hektara łąki zbiera rocznie 100 metrów siana, co daje 15.000 zł dochodu. Wysokość odszkodowania za ten hektar wynosi 4.000 zł. Siedemdziesięcioletnia Eleonora Balińska również posiada 1 ha łąki, zabierają jej 83 ary.

Ludziom tym proponuje się ziemię zastępczą, w odległości 20—30 km od Sulejowa. Rzecz charakterystyczna, że nikt nie wyraża na to zgody. Atmosfera wśród tutejszej ludności jest bardzo napięta. Otóż przed dwoma laty przeprowadzono w tej wiosce klasyfikację gruntów, co zmniejszyło automatycznie podatki i wysokość obowiązkowych dostaw. Nie trzeba dodawać, że chłopi byli z tego bardzo zadowoleni i wcale nie protestowali. A w ogóle to piszą prośby o budowę wału ziemnego, który by uchronił ich łąki przed zatopieniem. Spór zostanie rozwiązany najprawdopodobniej w ten sposób, że poziom wody w zbiorniku zostanie obniżony o 1 metr. Lustro wody zmaleje — uchroni się setki hektarów łąk.

Obraz sytuacji byłby jednak niepełny, gdybyśmy mówili tylko o stratach i szkodach, a nie wspomnieli o korzyściach. Cena ziemi wokół zbiornika poszła w górę. Obrotni faceci z wyobraźnią kupują parcele od miejscowych chłopów i budują dacze blisko przyszłego Morza Sulejowskiego. Niektórzy nawet tak blisko, że aż za blisko. Przepisy powiadają, że wolno się budować dopiero w odległości 400 m od brzegu. Okazuje się jednak, że przepisy obowiązują jednak tylko ludność miejscową. Przybyszów z Łodzi i Opoczna nie dotyczą. Mimo bowiem decyzji o wstrzymaniu robót, budują swe wspaniałe wille nad przyszłym modnym zalewem. Niedaleko Smardzewic, w wiosce o przedziwnej nazwie Tresta powstał już cały piękny ośrodek willowy. W kolejce ustawiają się już następni kandydaci do „turystycznego zagospodarowania" brzegów przyszłego jeziora. Prywatni właściciele grodzą place i zwożą góry materiałów budowlanych, gdy tymczasem Jan Zając, ten chłop spod zapory, narzeka, że nie może otrzymać nawet szlaki na produkcję pustaków. W Treście szlaka jest, znajdują się również potężne zwały cementowych bloków. Nie śmiem nawet pytać czyje to i skąd. Prawdopodobnie to wcale nie letnie rezydencje, lecz bunkry tam powstaną. Zresztą władze powiatowe w Opocznie lepiej się chyba na tym znają, gdyż jednym z pionierów tej inicjatywy jest powiatowy geodeta. Grunt, że interes się rozkręca. Nie ma próżni w przyrodzie. Ponieważ łódzkie zakłady pracy zbyt opieszale interesują się przyszłymi terenami rekreacyjnymi, robią to prywatni właściciele. Obawiam się jednak, że gdy sobie o tym przypomną, będzie już za późno. Wtedy może trzeba będzie przystąpić do drugiego etapu wywłaszczeń.

KAROL BADZIAK

W związku z artykułem dyskusyjnym pt. „Strach i odwaga", zamieszczonym w naszym piśmie dnia 23. VIII. 71 r., drukujemy dziś reportaż jednego z naszych Czytelników.

ZBIGNIEW ADAMSKI

Dwa oblicza Pątnowa

Impreza była wzruszająca prawie. Dwóch starszych rolników, członków ORMO otrzymywało nagrody od komendanta posterunku MO za ujęcie chuliganów usiłujących włamać się do wiejskiego sklepu w Pątnowie. Po wręczeniu nagród i kilku słowach wdzięczności i uznania, przedstawiciel Powiatowej Rady Narodowej zapytał wprost.

— Jak to było?

— Obudził mnie podejrzany hałas w sąsiedztwie (obok właśnie mieści się sklep) więc wyszedłem po cichu i zauważyłem, że drzwi są uchylone, a w środku ktoś się znajduje. Skoczyłem do sąsiada, mojego kolegi i zastukałem i złapałem go pod gardło. Gdy powiedziałem co się dzieje, chwycił kawał kija i przez podwórze dostaliśmy się pod sklep. W tym czasie wyszła także moja żona i ona spłoszyła chuliganów. Zastąpiliśmy im od pola. Innej drogi nie było. Albo my, albo oni. Nie wiedziałem, co za jedni i co mają w rękach. Zaświeciłem i krzyknąłem. Pierwszy odchylił się i chciał mi zadać cios, skoczyłem i złapałem go pod gardło Kolega chwycił go za ręce. Drugi uciekł. Przyprowadziliśmy go do mnie do domu Mówił, że jest głodny, to daliśmy mu jeść Przyznał się do wszystkiego i powiedział, że już siedział, to mu wszystko jedno. Potem posłaliśmy chłopaka po komendanta, który go zabrał.

W tym momencie włączył się drugi.

— My to zrobili nie dla nagrody.

I nam go żal było. Ale jak się inni dowiedzą, to może będą woleli pracować, a nie rozbijać po wsiach. Bo nam starym co tyleśmy nacierpieli się w wojnę żal jest kiedy młodzi chuliganią i zamiast dobrze robić, robią źle, a czasem to i wielką krzywdę komuś wyrządzą.

Schodziło się coraz więcej ludzi, bo pora późna, a sobotni wieczór miała sfinalizować zabawa w sali miejscowej OSP. Pożegnaliśmy wzruszonych rolników i służbowym pojazdem wróciliśmy do powiatu. Jeden z moich kolegów natomiast spotkał kumpla z wojska i postanowił zostać na zabawie, tym bardziej, że zespół muzyczny z Mierzyc nęcił doskonałymi melodiami.

* ★ *

Znalazłem go w poniedziałek w domu z posianiaczoną twarzą i pokaleczonymi rękami.

* ★ *

— Pod koniec zabawy wracaliśmy z kolegą przez wieś. Przed nami grupa wyrostków biła chłopaka, a kiedy upadł na ziemię, zaczęli go kopać. Zatrzymaliśmy się osłupiali, nie wiedząc co robić. Za moment jeden z tamtych uderzył Józka w twarz. Ten chwiejąc się szedł w stronę rowu. Mnie okładało chyba trzech. Opędzałem się jak mogłem. Byli pijani, nie umieli trafiać. Obrywali i ode mnie. Chciałem przedostać się do Józka. Zostawili mnie na chwilę i wpadli na niego. Uciekał. Krzyknąłem. Za co go bijecie! Zniknął w jakimś podwórku. Wrócili do mnie. Znowu krzyknąłem. — Bądźcie ludźmi! Za co nas bijecie! — W odpowiedzi dostałem czymś twardym w głowę. Resztką świadomości postanowiłem uciekać. Przecież doskonale biegam. Byłem zamroczony tym uderzeniem, bo zdążyli mnie kilka razy kopnąć po nogach. Uciekałem przez łąki. Po ciemku wpadłem na kolczaste druty. Ich wrzaski poderwały mnie na nogi. Ręce piekły od skaleczeń. Trafiono mnie kamieniem w plecy. Następne druty (chłopi tak grodzą swoje działki) udało mi się przeskoczyć. Oni wpadli na nie. Kilku się przewróciło. Zostawiłem ich z tyłu, bezpiecznie daleko. Stanąłem pod wierzbą i słuchałem. Ręce miałem poprzebijane głęboko i porane uda, spodnie w strzępach. Usta rosły, drętwe i jakby nie moje. Nie potrafiłem myśleć o tamtych jak o ludziach. Wiesz, to jest parszywe uczucie.

Słyszałem jak odchodzili bluźniąc i chwaląc się, który mnie wykończył. Dopiero gdy ucichli na końcu wsi, powlokłem się do miejsca, gdzie zginął Józek. Poznałem dom, obok którego wszystko się zaczęło. Kolega wyglądał lepiej. Miał jedynie sine oko, ale narzekał, że skopali go po żebrach. Chłop doradzał, aby poczekać do świtu.

* ★ *

Coraz więcej bezmyślnych bydląt chodzi po naszym świecie. Oni nie wiedzieli nawet, jak ten chłopak miał na imię, nie wiedzieli ile miał lat, skąd pochodził, co robił. Wiedzieli tylko, że był człowiekiem. Bili go zupełnie bez powodu, dla jakiejś zwierzęcej satysfakcji. Nie byli kryminalistami, nie nosili koszul „hippies". Tylko głowy mieli ciasne i tępe; chamskie i wyrodniejące dusze. Niejeden z nich był na mszy w niedzielę, a co drugi zasuwał z pługiem podorywki. Mieli swoich rodziców i swoją stówę na „pół basa".

Epizod z Pątnowa to tylko fragment, to wycinek historii wiejskich zabaw. Podobnie dzieje się na Widoradzu, w Wierzchlesie, Olewinie, podobnie dzieje się w setkach wiosek w sobotnie i niedzielne noce.

Zabawy, mające w pobożnym życzeniu stanowić kulturalną rozrywkę stają się parodią jakiejkolwiek rozrywki, zaprzeczeniem wszystkiego co może być piękne i ludzkie. Schlane do nieprzytomności towarzystwo śmierdzi alkoholem, moczem i wymiocinami. Stek przekleństw głuszy, głośną ostatnio, muzykę. Co wartościowsze dziewczyny siedzą w domu, albo z pogardą, smutkiem i strachem czają się po kątach sal. Nie wiadomo w końcu, kto się bawi, kto zgłupiał i kto rządzi. Trudno kusić się o analizę czy genezę chamstwa i prymitywu. Ono po prostu istnieje i istnieć będzie tak długo, jak długo będą ludzie bydlęta, tępi i ograniczeni.

Chodzi tylko o to, aby chamstwo nie miało możliwości wzrostu. Niech władze nie dają zezwoleń na zabawy, gdzie dochodzi do ekscesów chuligańskich (organizatorzy zabiegają, bo im chodzi o zarobek). Niech patrol MO wpadnie pod koniec zabawy i nie pobłaża tym, którzy innych chcą bić w mordę, bo to wcale nie jest męską zabawą, a uczucie, że otaczają nas zwierzęta jest rzeczywiście parszywe.

JAN HUSZCZA

Pomocnik stolarza

„Ja, wiecie, jestem człowiek prosty... Byłem pomocnikiem stolarza... Sypiałem w kącie na wiórach... Potem, wiecie, zająłem się polityką... Czasy, jak to sami wiecie, były ciężkie... Cholernie ciężkie... Byłem pomocnikiem stolarza i tego się nie wstydzę... Ale tym bardziej cenię i szanuję inne zawody... Więc życzę wam owocnych, drodzy przyjaciele, obrad... Żeby był z nich pożytek dla...“

Albin Sokołowski lubił powitalne wystąpienia na różnych zgromadzeniach i konferencjach okraszać takimi mniej więcej wyznaniami — wstawkami. Wydawało mu się, że nawiązuje w ten sposób żywszy, odbiegający od ceremonialnego, kontakt ze zgromadzonymi na sali i z siedzącymi za prezydialnym stołem. Prawdę powiedziawszy, ludziom przeważnie to się podobało, gdyż stanowiło ożywiające wzbogacenie tekstu z kartek. W dodatku z czyich ust te słowa wychodziły? Z ust Sokołowskiego, zajmującego dość poważne stanowiska. Były to najczęściej stanowiska zastępcy a czasem przewodniczącego w mniejszych miastach, potem znowu zastępcy przewodniczącego, ale w dużym mieście, czyli powrót do tytułu zastępcy stanowił niewątpliwy w tym wypadku awans. Słowa — wyznania brzmiały dobrze, gdyż wypowiadał je człowiek umiejący się uśmiechać, żwawy i czerstwy, po jakichś latach o głowie ozdobionej ładną siwizną, ale o zdrowej twarzy, mówiącej o tym, iż sama siwizna jest przedwczesna — stała odpowiedzialność, obywatele, za różne sprawy, stała odpowiedzialność — można powiedzieć, że prawie kokieteryjna.

Szczególnie dobrze i na czasie brzmiały te słowa w pierwszych latach po wojnie. Świadczyły o tym, że coś w rzeczy samej w układzie stosunków społecznych się zmieniło. Wyznanie Sokołowskiego dodawało otuchy innym, podobnie jak on nie posiadającym świadectw i dyplomów. Brawa dla burmistrza sypały się gęste i nieustające.

Potem przyszedł taki okres, że inteligenci starego chowu — nie było ich zresztą wielu w naszym zrujnowanym kraju — jakby samych siebie się wstydzili, wyszukiwali w swoich życiorysach epizodów, związanych z pracą fizyczną, zawodów nieskomplikowanych, choć wielce pożytecznych, terminowanie w rzemiośle lub na roli w jakichś majątkach. Nie musieli nawet zmyślać. Przecież mieli za sobą wojnę, okupację, wywózki. I te epizody wydobywali na światło dzienne, do nich w różnych wystąpieniach z dumą nawiązywali, nimi wytaczane przeciwko sobie zarzuty usiłowali usprawiedliwiać.

O samej działalności Sokołowskiego różnie ludzie w różnych latach wypowiadali zdania. Prasa tych miast, w których aktualnie działał, z reguły zamieszczała pochwalne notatki, czasem artykuliki i wywiady. Gdy jednak oddalił się do innego miasta, wtedy w reportażach pojawiały się nieśmiałe dygresje, dyskretne aluzje, czytelne jedynie dla wtajemniczonych, do oczywistych zaniedbań i przeoczeń, których rzekomo łatwo było uniknąć. Dygresje o posunięciach, które nazywano nieprzemyślanymi. Ale, jak się powiedziało, ani zaniedbań, ani jakichś tam niefortunnych poczynań nie wiązano z żadnymi nazwiskami, tym bardziej z nazwiskiem Sokołowskiego.

On sam w ciągu długoletniej kariery doznał jednej właściwie poważniejszej przykrości...

Hallo! Kto tam protestuje? To pan, panie Zygmuncie?! Oczywiście, że wszystko w tym wypadku upraszczam. A może nawet i nie to: po prostu chodzi mi tylko o jeden wątek. Ma pan rację, panie Zygmuncie, że przeskakuję przez lata jak koń wyścigowy przez przeszkody. Przyznaję, że taka narracja zubaża postać Albina Sokołowskiego. Nie tylko zubaża i schematyzuje, ale czyni go nie nazbyt sympatycznym. Ma pan rację, panie Zygmuncie: ja też — był taki czas — ulegałem urokowi Albina Sokołowskiego. Inna rzecz, że przelotnie, przecież widziałem go zaledwie parę razy, raz zaś tylko z nim rozmawiałem. Były to bowiem, jak się mówi, za wysokie progi na moje nogi. Ale — z naciskiem to podkreślam — chodzi mi o ten jeden wątek, rozwinięty w satyryczny sposób. A o prawach takiego podejścia do tematu, panie Zygmuncie, wie pan jeszcze lepiej niż ja... Co? Zgoda? No więc przestań pan! No więc... On sam w ciągu długoletniej kariery doznał jednej właściwie poważniejszej przykrości... związanej z działalnością urzędową. W pewnym dużym mieście, w którym przez jakiś czas był wiceprzewodniczącym, szczególnie denerwowała go mała dzielnica peryferyjna. Tworzyła ją sieć krótkich i wąskich uliczek, wzdłuż których stały schludne przeważnie parterowe domki, niekiedy wille, wszędzie były ogródki lub klomby, a wszystko ocienione lipami, kasztanami, pod którymi co roku kwitły kolejno krzaki bzów i jaśminów, znajdował się tam wreszcie w pobliżu dobrze utrzymany duży i głęboki staw.

Potocznie nazywano tę dzielnicę „lekarską“, chociaż oficjalna nazwa brzmiała: Podlipie. Owszem, mieszkało na Podlipiu kilku lekarzy, w tym paru znanych, mieszkali jacyś adwokaci, drobni przedsiębiorcy. Szczegółowy wykaz zawodów, jaki reprezentowali mieszkańcy tej miniaturowej dzielnicy, byłby jednak długi, dodajmy, że oprócz ludzi uczciwie tyrających, znaleźliby się i tacy, co nie potrafiliby powołać się na żaden konkretnie uprawiany zawód.

Denerwująca dzielnica! Na jednym z posiedzeń prezydium Sokołowski przelansował swoją względem niej koncepcję. „Ja, wiecie, jestem człowiek prosty... Uznaję tylko ideę...“ Chodziło Sokołowskiemu o to, by zmienić charakter Podlipia. „Nasze nowe czasy muszą wtargnąć i do tej lekarskiej dzielnicy!“ Sprzeciwy były nieśmiałe, chociaż nie wszyscy cieszyli się takim jak Sokołowski zdrowiem, niektórym zależało na lekarzach.

Na największym placyku w dzielnicy pojawiły się kopaczki manewrujące żarłocznymi czerpakami, rozpoczęto wreszcie budować zespół pomieszczeń dla warsztatów mechanicznych. Do zadrzewionej dzielnicy wdarły się wozy, betonomieszałki, potem zaś warkot silników, kurz węglowy, traktory i ciężarówki, wymagające kapitalnych remontów. Jedni mówili, że zapaskudzono dzielnicę, inni, że nadano jej nowy akcent.

A owa przykrość? Okazało się, że domek w bliskości, właściwie w bezpośrednim sąsiedztwie z placem budowy zajmował niejaki Osica, człowiek dobrze usytuowany w miejscowej hierarchii. To on, gdy Sokołowski przyszedł, by nacieszyć się krzątaniną i hałasem, natarł na wiceprzewodniczącego. „Niszczycie charakter Podlipia... Czemuż to takie duże miasto nie ma mieć swego ogrodu, swoich zielonych płuc?! Przecież tu w niedziele ludzie ściągają, by na kocach przy stawie trochę odetchnąć, czasem w wodzie pobaraszkować...“ Osicy, jak łatwo się domyśleć, chodziło nie tylko o ludzi, którzy szukali na kilka godzin lepszego powietrza, ale i o sąsiedztwo jego domku z hałaśliwymi warsztatami.

Przez tego Osicę, który widocznie nie patrzył dalej czubka swojego nosa, przez jakiś czas Sokołowski czuł się nawet zachwiany, gdyż poruszono i kwestie ekonomiczne: długie dojazdy do warsztatów, znajdujących się na uboczu dla wszystkich zainteresowanych. Doszło wreszcie do kompromisu: znaleziono dla Osicy domek w innym kwartale miasta, mniej malowniczym, ale także dosyć zaciszny. Doprowadzono do tego domku przewody elektryczne, ułożono cementowy chodnik o długości jakichś dwustu metrów.

Sokołowski mógł więc znowu z godnością zagajać: „Ja, wiecie, jestem człowiek prosty... Byłem pomocnikiem stolarza... I tego się nie wstydzę... Więc życzę wam owocnych obrad... Żeby był z nich pożytek dla...“ I dodawał: „Docto homini et erudito vivere est cogitare...“ Oho! To już było szczególnie kokieteryjne i wiele mówiące. Niby człowiek prosty, owszem, były pomocnik stolarza, a przecież, gdy trzeba, potrafi się znaleźć, posłużyć się i łaciną nawet. Ho, ho! Nie wiemy, kto mu to podszepnął i kiedy, kto go przekonał do łacińskiego porzekadła, może to się zaczęło w okresie, gdy wyszła na jaw, właśnie w tym mieście, pierwsza afera z fałszowaniem świadectw maturalnych. Oznaczała ona, że zaczynają być potrzebne — chociaż nie wszędzie, nie wszędzie — świadectwa szkolne, dyplomy, zaświadczenia. Mówimy „może“, gdyż wydaje się, że łacina w ustach Sokołowskiego pojawiła się znacznie później.

To „docto homini et...“ znowu umocniło reputację wiceprzewodniczącego. Chcemy być dobrze rozumiani: reputacja Sokołowskiego w jego własnym mniemaniu nigdy nie doznała uszczerbku, najwyżej spotykał się z niezrozumieniem, gdy jednak mówimy już o umocnieniu, mamy na myśli jego słuchaczy, zwłaszcza tych młodszych wiekiem, nadmiernie skłonnych do ironizowania, wśród których, gdy Sokołowski pojawiał się na mównicy, rozlegał się od czasu do czasu szept, anonsujący mówcę: „Ja, wiecie, jestem człowiek prosty... Byłem pomocnikiem stolarza...“

A jednak dopiero niedawno spotkała Sokołowskiego przykrość może największa, jeżeli idzie o niego, jako o osobę publiczną.

Jak potem opowiadano, przeżył ją ciężej, niż inne niepowodzenia, związane na przykład z niekorzystnym zaplanowaniem inwestycji budowlanych, z chaosem, wywołanym w miejskiej komunikacji.

Zjazd elektroników (czy może geologów?), zwołany do miasta, w którym Albin Sokołowski jest aktualnie wiceprzewodniczącym, jak wszystkie u nas zjazdy zakończył się uroczystym obiadem. Obiadem, w czasie którego nie brakowało i alkoholu. Sokołowski sam zresztą lubił alkohol, przynajmniej przy większych okazjach. Przyszedł, by uświetnić zakończenie zjazdu, zaszczycić jego uczestników swoją osobą. (Na otwarciu wystąpił bowiem sam przewodniczący, który następnego dnia musiał służbowo wyjechać...) I, oczywiście, znowu przedstawił się jako człowiek prosty, były pomocnik stolarza, który jednak dobrze wie, że „docto homini et erudito vivere est cogitare.“ Po oklaskach zmienił swoje honorowe miejsce przy ustawionych w podkowę stołach, skromnie „zmieszał się z uczestnikami“, usiadł między dwoma młodymi inżynierami. Jeden z nich o twarzy przedwcześnie gąbczastej, w nawiasach obfitych baczków, popijający chętniej niż w pierwszych chwilach obiadu wypadało, wyjątkowo wyraźnie zainteresował się Sokołowskim. Po prostu do niego się przykleił, nie szczędząc z początku gestów szacunku, przynajmniej pozornego.

— Panie przewodniczący, proszę mi wybaczyć moje wścibstwo!

— Może pan się nie krępować...

— Więc proszę mi wybaczyć moje wścibstwo, gdyż chciałbym zadać panu pewne pytanie...

— Od tego jesteśmy, żeby nam zadawano pytania...

— Otóż: rozumiem dobrze, że pana początki były trudne, a w tamtych warunkach nie mógł pan się kształcić...

— Nie mogłem, choć bardzo ciągnęło mnie do wiedzy.

— Otóż: w ciągu tych dwudziestu pięciu lat chyba pan przynajmniej jakieś studia zaoczne ukończył?

— Nie było kiedy... Łatwo panu tak mówić, bo jest pan nowe pokolenie...

— Przypuszczam, że ułatwiono by to panu, gdyby pan tylko chciał...

— Nigdy nie lubiłem ułatwień! — Tu Sokołowski nieco się speszył, podejrzliwie zerknął na twarz w baczkach, ale znalazł odpowiedź: — Nie pozwalała mi na to duma prostego człowieka...

— Ale pańskie stanowisko w naszych czasach wymaga przygotowania, jakiegoś wykształcenia...

— A doświadczenie to pies?! Życie mnie uczyło, panie inżynierze! Poza tym...

— Poza tym... uczyliście się na błędach...

— Właśnie... — odetchnął Albin Sokołowski, któremu zrobiło się trochę duszno, mimo iż siedzieli niedaleko otwartego okna.

Zamiast nabożnej akceptacji, na twarzy bezczelnego inżynierka (elektryka czy geologa?) pojawił się grymas. Grymas wzbierał zmarszczkami po obu stronach ust, wreszcie stał się śmiechem, takim śmiechem, że aż baczki latały jakby wiatrem poruszane. A najbliższe otoczenie zainteresowało się przyczynami tego śmiechu.

Należało wszystkim możliwie szybko dolać wódki.

Pijany był ten inżynierek. Ależ pieprzony sukinsyn! Szkoda, że należał do przyjezdnych gości, nie pracował w mieście, w którym Albin Sokołowski jest wiceprzewodniczącym.

Ci, co bliżej siedzieli, teraz tylko szeptali: „Aj, numer!“

Rys. A. Grun

WITOLD KAKOWSKI

„PERŁA BAŁTYKU” BEZ OPRAWY

POŁOŻENIE

W środkowej części wyspy Wolin. Od południowowschodniej strony osłonięte pagórkami porośniętymi wysokopiennym lasem mieszanym z przewagą drzew iglastych. Ciągnie się on od Wapnicy przez Zalesie, Grodno, Wisełkę do Kołczewa. Od południa wyspa Wolin otoczona jest wodami Odry i jeziora Dąbskiego od północy wodami Bałtyku.

W ostatnich latach miałem okazję zwiedzić kilkanaście miejscowości nadmorskich z tej i z tamtej strony Odry. Nasuwające się porównania bynajmniej nie nastrajają optymistycznie. Wynika to — wydaje mi się — przede wszystkim z braku tradycji wczasowo-turystycznych mieszkańców naszego Wybrzeża. I nie można się temu dziwić: starzy mieszkańcy zjechali tu z różnych krańców Polski — młodzi natomiast nie mieli wzorca, by taką tradycję stworzyć.

W wędrówkach po miejscowościach nadbałtyckich u naszych sąsiadów, dość często — ja człowiek obcy — spotykałem się z życzliwym uśmiechem na ulicy, czy drodze, a nawet z powitaniem „Dzień dobry“. Z reguły prawie zawsze witano mnie pozdrowieniem w pensjonatach i domach wczasowych. Taki tu już zwyczaj.

Na temat spraw turystyki i wypoczynku — dzięki pomocy kolegów dziennikarzy z NRD — miałem możność rozmawiać z burmistrzem Rostocka (miasta wojewódzkiego, podobnie jak nasz Szczecin). W maju, czerwcu, lipcu i sierpniu oraz w pierwszej połowie września ludność miejscowości nadmorskich i wszystkie instytucje administracyjno-gospodarcze nastawione są na obsługę wczasowiczów oraz turystów.

Patrzę na mapę wybrzeża NRD z notatkami, które poczyniłem na jej marginesach podczas 200-kilometrowej, kilkudniowej podróży i przypominam sobie obraz tych miejscowości. Kühlungsborn. To tu zwiedzałem miasteczko składające się z 2 tys. namiotów. Każdy z nich oświetlony wewnątrz i na zewnątrz; przy każdym kran z bieżącą wodą, przed każdym stolik turystyczny i krzesełka. Opłata za nocleg — 1 marka. W centrum miasteczka murowany bar szybkiej obsługi, jakiego nie powstydziłaby się nawet Łódź. Do tego kino na 200 osób, parking strzeżony, warsztat napraw itp. Zjedzenie obiadu — w pełni sezonu — zajęło mi pół godziny; koszt — półtorej marki.

Bad Doberan — miejscowość podobna do naszych Międzyzdrojów. Wyżwirowane kamykami morskimi alejki, kwietniki, wymalowane na wysoki połysk domy. Ahrenshoop — miasteczko namiotowe; Prerowo — urządzone i zagospodarowane przez międzynarodowy obóz pionierów; Badsted — kolonie dziecięce; w małych drewnianych domkach na podmurówkach z kamienia — z mini-ogródkami — po 6 kolonistów dobranych według płci i wieku. Sławetnych „psich bud“ — zwanych domkami campingowymi — szpecących krajobraz, nie spotkałem. Albo namioty, albo solidne „dacze“ na podmurówkach z wygodami.

Nie wiem, czy ludzie wybrzeża z NRD znają przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom“. Stwierdzam natomiast, że samopas włóczyłem się po Warnemünde i to niekiedy nocą po portowych knajpach. Na co nie odważyłem się na taki akt heroizmu ani w Świnoujściu, ani w Międzyzdrojach. Wczasowicz jest dla miejscowych nietykalny — „święta krowa“.

W porównaniach swoich mógłbym znaleźć miejscowości — odpowiedniki po tej oraz po tamtej stronie Odry i malować ich obrazy. Symbolem jednak dla mnie jest „Perła Bałtyku“ — Międzyzdroje. Znalazły się one na

MIKROKLIMAT

Ogromne masy wody otaczające wyspę Wolin gromadzą ciepło i stwarzają lokalny mikroklimat. Okolice Międzyzdrojów mają najłagodniejszy klimat na Pomorzu Zachodnim:

▲ średnia temperatury — minimalnej w styczniu 12,3 st. C;

▲ średnia temperatury maksymalnej w lipcu 28,3 st. C;

▲ średnia roczna 8 st. C;

▲ najkrótsze zimy (40—60 dni), ich początek przypada pod koniec II połowy stycznia;

▲ opady średnie 600 mm, w okresie od maja do końca sierpnia — 180 mm.

▸POLONICA◂

JERZY GROTOWSKI

Sierpniowy numer miesięcznika teatralnego „Theater heute" wychodzącego w Hamburgu, stoi pod znakiem Jerzego Grotowskiego. Jako materiał wstępny opublikowano jego odczyt pt. „Nagość w teatrze — obyczajnie czy obscenicznie?", wygłoszony niedawno w Nowym Jorku. Odczyt ten, utrwalony na taśmie magnetofonowej, został przełożony przez G. Schattenberga i R. Heckmanna. Zawiera on zwięźle, lecz bardzo sugestywnie ujętą problematykę teorii „teatru ubogiego" na tle tendencji erotycznych i „nudystycznych" w teatrze światowym, głównie zresztą amerykańskim. Jest to pasjonująca lektura, co rychlej powinni zapoznać się z nią polscy czytelnicy. Istnieje tylko obawa, czy tekst niemiecki nie jest jedynym dotąd drukowanym. W części numeru, przeznaczonej na druk sztuk, zamieszczono pełną partyturę „Księcia Niezłomnego" J. Grotowskiego (opracowanie i inscenizacja) według Calderona/Słowackiego. Autorem protokołu przedstawienia i komentarza jest Serge Ouaknine. Tekst ilustrowany został kilkunastoma zdjęciami, na okładce również jest zdjęcie z tego przedstawienia. Tekstem tym czasopismo rozpoczęło serię dokumentacyjną wybitnych inscenizacji.

POLSKIE TEATRY LALKOWE W BERLINIE ZACHODNIM

W tym samym numerze „Theater heute" Melchior Schedler w sprawozdaniu z międzynarodowego festiwalu teatrów dziecięcych, który odbył się w Berlińskiej Akademii Sztuk w dniach 11—21 czerwca br., bardzo wysoko ocenia sztukę lalkarską, zaprezentowaną przez poznański „Teatr Lalki i Aktora" — Marcinek i Teatr Dzieci Zagłębia pod kierunkiem Jana Dormana, dając te teatry za przykład zachodnioniemieckim lalkarzom. Pod zdjęciem, przedstawiającym scenę ze „Szczęśliwego księcia" czytamy: „Polak Jan Dorman pokazał na festiwalu, że również analiza teatralnych form i tradycji może być materią teatru dla dzieci".

(sk)

▸POLONICA◂

NIE TYLKO OBOJĘTNOŚĆ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Panie — powiedział jakiś spokojnie przyglądający się tej scenie pasażer — oni teraz palcem nie kiwną, nawet biletów nie będą sprawdzali, bo każdy dość obłowił się forsą. Poniżej stówy nie biorą.

Ten sam pociąg, 3 sierpnia 1971 roku. Znów wagon pierwszej klasy. W wagonie tłok, ale kilka przedziałów pozamykanych, a na szybach widnieją kartki: „Zarezerwowane". Dla kogo i przez kogo? Nie wiadomo. Zjawia się wreszcie konduktor i otwiera jeden z zarezerwowanych przedziałów. Wśród cisnących się pasażerów przoduje młodzian. Ludzie zajmują miejsca. Młodzian rozgląda się po przedziale i nagle zwraca się do siedzącej naprzeciw niego kobiety.

— Zjeżdżaj stąd!

Kobieta w pierwszej chwili nie rozumie o co chodzi.

— Słyszysz? — pyta młodzian — Zjeżdżaj!

— Pan zwraca się do mnie? — nie rozumie jeszcze kobieta.

Ale młodzian nie ma już czasu na dalszą „wymianę zdań". Wstaje, bierze kobietę za kołnierz i przy absolutnym spokoju reszty pasażerów kopniakiem pomaga kobiecie opuścić „zajęte" przez siebie miejsce. Przeznaczone ono było dla partnerki młodzieńca. Poturbowanej kobiecie miejsca ustąpił pewien dżentelmen.

I tego dnia, jak poprzednich i następnych na peronach nie było milicji. Gdzie była? Na to pytanie nikt nie potrafił dać odpowiedzi.

Nie są to sprawy nowe. Pisze się i mówi o tym od lat. I to właśnie jest przerażające. Pisze się przecież corocznie o złym przygotowaniu wakacyjnych ośrodków, o złej organizacji; wadliwym zaopatrzeniu, o bezmyślności i beztrosce. I nic. Każdego następnego roku spotykamy się z tym samym. Dlaczego?

2.

Wielokrotnie już na łamach prasy postulowano, że PKP powinna wprowadzić w pierwszej klasie wszystkich pociągów zasadę, że sprzedaje tylko tyle biletów, ile jest miejsc. Być może PKP ma w tej sprawie inne zdanie, ale jeśli nawet tak jest to nikt o tym nie wie. Ludzie kierujący Polskimi Kolejami Państwowymi uważają bowiem, że cała pisanina, że miliony przykrych słów wypowiadanych pod ich adresem przez podróżnych ich nie dotyczy. Oni wiedzą swoje, ale my też chcielibyśmy poznać ich racje. Chcielibyśmy np. wiedzieć, dlaczego premier Piotr Jaroszewicz mógł 7 sierpnia br. udać się osobiście do warszawskiego „Supersamu", by przekonać się jak jest zaopatrzony największy sklep stolicy, choć stale powinien tym zajmować się dyrektor tego sklepu i powinno mu być wstyd, że premier go wyręcza, a dlaczego kolejowi notable nie mogą osobiście poznać warunków podróżowania na „ich" liniach. Podróżowanie salonkami jest bardzo wygodne, ale cholernie denerwuje wymiętych w tłoku pasażerów. Poza tym z okien mijającej dworzec salonki widać już tylko żegnających i tych, którzy nie dostali się do pociągu.

Polskie Koleje Państwowe stoją na stanowisku, że pasażer jest dla nich a nie kolej dla pasażerów. PKP wszędzie, gdzie tylko może, informuje o obowiązkach pasażerów ale nigdzie nie ma ani słowa o obowiązkach PKP względem pasażerów. Codzienna praktyka PKP jest karykaturalnym przykładem lekceważenia obywateli PRL. I nikomu nie przychodzi do głowy, że jest to przykład demoralizujący.

Obecnie mamy na szczęście instytucję Rzecznika Prasowego Rządu PRL. Mam więc nadzieję, że tegoroczna „pisanina" o PKP dotrze do adresata i po raz pierwszy w dziejach PRL koleje zdobędą się na wyjaśnienie i sprezentowanie polskiej opinii publicznej swego stanowiska.

3.

Podróżując po Polsce w sierpniu byłem świadkiem, jak młodzi ludzie ubrani w odświętne garnitury obrzucili autobus PKS kamieniami, tylko dlatego, że konduktorka nie chciała ich zabrać, gdyż w autobusie był tłok. Widziałem też kobiety, które w Ośrodku Zdrowia w Jastrzębiej Górze nie chciały puścić do lekarza chorych dzieci tylko dlatego, że pediatra ma wyznaczone godziny przyjęć po południu, a teraz to one idą do lekarza dla dorosłych. Byłem też świadkiem „obrony" nieprzytomnego pijaczyny, którego kierowca autobusu PKS nie chciał zabrać. Widziałem tłum wczasowiczów, który chciał pobić pewnego dżentelmena, tylko dlatego, że ten ostatni usiłował pomóc milicjantowi w uspokojeniu chuligana.

— Panie cywil — krzyczały kobiety — odwal się pan, to nie pańska sprawa.

A chuligan napastował kobietę. Inne nie potrafiły jednak zrozumieć, że jeśli teraz nie dostanie nauczki, to jutro ta sama przykrość może spotkać każdą z nich.

Powróciłem z tych podróży wstrząśnięty i przerażony. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z tyloma przejawami egoizmu, chamstwa, sobiepaństwa, prywaty, bezmyślności i anarchii. A najbardziej bolał mnie egoizm młodych z którym mogłem spotykać się niemal na każdym kroku. Stworzyliśmy młodemu pokoleniu dobre warunki rozwoju, zapomnieliśmy jednak nauczyć ich obowiązku wobec społeczeństwa.

4.

Można nasze narodowe wady tłumaczyć spadkiem otrzymanym po minionych pokoleniach. Można szukać źródeł warcholstwa i gadulstwa w pokutującej tradycji szlacheckich sejmików. Można przypominać, że przez minione wieki społeczeństwo polskie nauczyło się wrogo odnosić do wszelkiej władzy, a nawyki i stereotypy ukształtowane przez setki lat nie znikają w krótkim czasie. To niewątpliwie wszystko prawda, ale też i w naszych warunkach istniały takie czynniki, które zamiast hamować i niweczyć złe cechy społeczeństwa, ujawniły je i umożliwiały im dalszy i dość szybki rozwój.

Bo przecież to wszystko, co każdy z nas mógł zaobserwować w czasie krótkiego urlopu, kiedy to do kilkuset miejscowości ściągnęły tysiące ludzi i każdy był najważniejszym z ważnych, każdy był najrówniejszym z równych, kiedy każdy troszczył się tylko o siebie i swoje sprawy, mając w pogardzie całą resztę — to wszystko stanowiło jedynie wyolbrzymiony, karykaturalny obraz naszego codziennego postępowania. I o jego przyczynach trzeba mówić w ogólnej dyskusji, jaka trwa przed VI Zjazdem PZPR. Żyjemy przecież w warunkach kiedy mogą bez przeszkód rozwijać się najlepsze cechy każdego z nas, gdzie foruje się kolektywne działanie poczucie więzi społecznej, gdzie stale przypomina się o patriotyzmie. Jakie działają zatem przyczyny, że zamiast cech najlepszych do głosu dochodzą społecznie szkodliwe?

Przez lata nagłych zakrętów historii nauczyliśmy się nie tylko obojętności na sprawy innych, ale i wygody w postępowaniu. Oto dowiedziałem się, że wśród licznych postulatów i wniosków zgłoszonych niedawno przez łodzian przeszło 2 dziesiątki dotyczyło korekt tras komunikacyjnych. Wiemy wszyscy, że układ komunikacji miejskiej w Łodzi daleki jest od ideału. Projektuje się nowy, zmodernizowany, który będzie odpowiadał potrzebom wielkiego miasta. Czas jego tworzenia będzie dość długi. Warto zatem zastanowić się nad zgłaszanymi przez ludność postulatami, aby ułatwić im poruszanie się po mieście. Ale realizacja tych postulatów naruszyłaby spokojne życie wielu instytucji. Lepiej więc nic nie zmieniać i spokojnie czekać na zmiany dalekiej przyszłości.

Myślę, że nasza obojętność bierze się z przekonania, że my nic nie możemy, że jak coś zostało postanowione i zatwierdzone, to już nic nam do tego, nawet gdybyśmy wiedzieli, że decyzja ta jest błędna. Każdy z nas mówi, że chętnie by zmienił to i tamto, bo widzi błędność w postępowaniu, ale przecież on nic nie może, od niego nic nie zależy. I palec wędruje do góry. Tam — w górze — zadecydowano i postanowiono. Tylko, że ma to niewiele wspólnego z odpowiedzialnością. Jeśli widzę, że coś dzieje się źle, to moim patriotycznym, obywatelskim i partyjnym obowiązkiem jest głośno krzyczeć o tym. Nie wolno milczeć wobec przejawów zła, bezmyślności i formalizmu. Nie wolno milczeć wobec przejawów obojętności, lekceważenia i marnotrawstwa nie tylko wspólnych dóbr materialnych, ale dobra najcenniejszego — ludzkiej inicjatywy, myśli i pracy. A do tej pory zbyt często milczeliśmy. Bez mówienia prawdy w oczy, bez szczerej twórczej dyskusji nie uda się odbudować dyscypliny społecznej. Zacznijmy się wreszcie wzajemnie sobie narażać. Okazją niech będzie rozpoczęta ogólnonarodowa dyskusja o powszednich sprawach Polaków.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

---

ustach niemal wszystkich mieszkańców naszego kraju w związku z zabójstwem studenta w „Europie".

Gdy przed pięciu laty odwiedziłem tę miejscowość latem byłem zachwycony. Dywany kwietne przed wejściem na molo, rabaty wśród trawników, kwiaty w olbrzymich betonowych wazonach i w skrzynkach przy białych barierkach zagradzających wstęp na molo, drewniane dywaniki przy zejściach na plażę, zjeżdżalnia do wody dla dzieci na morskiej płyciźnie itp.

Cztery lata temu zniknęły: zjeżdżalnia, drewniane dywaniki, zmniejszyła się ilość kwiatów. Przed trzema laty rozpoczęto trwające po dziś dzień wykopki na głównej ulicy (odcinek 400 m) i praktycznie zablokowano dostęp z dworca do miasta. I tak każdego roku coś nowego; zamiast róż i innych kwiatów na trawnikach i w ogródkach przed domami pojawiły się chwasty, w wazonach z betonu trochę ziemi i zeschłych badyli po zeszłorocznych kwiatach, białe barierki przy molo stały się rude od rdzy i zniknęły z nich ukwiecone skrzynki. Słowem — z każdym rokiem coraz to gorzej.

W 1969 roku pod koniec czerwca na plaży — nie opodal przystani rybackiej — w biały dzień zamordowano wczasowiczkę z Krakowa. Po dziś dzień nie wiadomo, czy mordercę złapano. Na temat tego wypadku w lokalnej prasie panowało milczenie. W Międzyzdrojach komunikaty przez radiowęzeł — w poszukiwaniu świadków — nadano wówczas, gdy turnusy współtowarzyszy owej nieszczęsnej wczasowiczki rozjechały się do domów. W 1970 roku w czerwcu — znaleziono w pobliżu plaży zamordowanego mężczyznę. Wiadomość tę z ust do ust niosła od domu wczasowego do domu „wieść gminna". Historię roku 1971 — znamy.

Bandziorów w Międzyzdrojach nie brak; włóczą się oni w biały dzień po promenadzie i sieją postrach wśród miejscowych oraz wśród 40—50 tys. wczasowiczów. Sam byłem świadkiem — w czerwcu br. — jak około godz. 17 pijany chuligan „zaprawił" 16-letnią dziewczynę spacerującą z siostrą i matką wśród tłumu ludzi na promenadzie, tuż przed molo. Chuligana nie schwytano; oko dziewczynie uratowano, a groziła jej ślepota. Miejscowy posterunek MO wzmocniono — jak co roku — dopiero od 1 lipca.

Nie brak również „bandziorów" za kierownicą — trzeźwych i pijanych — którzy mimo nakazów zmniejszania w osadzie szybkości „prują" przez jej ulice z szybkością ponad 70 km na godzinę. Kto ich upilnuje — tych czterech milicjantów pracujących na zmianę? Ofiary „kawalerskiej fantazji" wędrują do pogotowia, do szpitala w Świnoujściu, a czasem do kostnicy.

Brak natomiast w Międzyzdrojach gospodarza, który zatroszczyłby się o oprawę dla „Perły Bałtyku". Nie wiadomo dlaczego, sezon turystyczny zaczyna się w tej miejscowości w II połowie czerwca, jeśli już w maju ludność tej miejscowości powiększa się dziesięciokrotnie (wzrasta z 5 do 50 tys., a w pełni sezonu przekracza 60 tys.). Czterokrotnie w ostatnich pięciu latach maje były tak piękne, że ludzie poopalali się na brąz. Niestety, do dyspozycji mieli tylko domy wczasowe i plażę. Sklepy, kawiarnie, restauracje rozpoczynają działalność dopiero na początku lub w II połowie czerwca. Podobnie poczta — mimo tasiemcowych kolejek interesantów, dodatkowe okienka oraz kiosk na molo uruchamia w lipcu. Tak więc miejscowi gospodarze nie żyją w zgodzie ani z kalendarzem, ani ze zdrowym rozsądkiem. Na przedłużaniu sezonu im nie zależy. Po co im ten kłopot?

Tymczasem związki zawodowe i podległe im domy wypoczynkowe już w br. na próbę rozpoczęły z powodzeniem sezon w marcu. Wiele domów ma bowiem centralne ogrzewanie, a mikroklimat w Międzyzdrojach sprzyja leczeniu dróg oddechowych. Nie interesuje się lewica tym co robi prawica. Miejscowa rada narodowa nie potrafi kompleksowo zatroszczyć się o porządek w osadzie oraz o bezpieczeństwo wczasowiczów. Nic więc dziwnego, że Międzyzdroje znalazły się na równi pochyłej, mimo, że mają wszelkie dane być miejscowością wczasowo-uzdrowiskową wyróżniającą się na całym Wybrzeżu.

WALORY KLIMATYCZNE

Wiatry dość silne i porywiste (zachodnie i południowo-zachodnie) oraz rzadziej słabe wschodnie, unoszą drobniutkie kropelki wody. Wytworzony w ten sposób aerozol działa leczniczo — szczególnie na drogi oddechowe. Silne promieniowanie słoneczne bezpośrednie i pośrednie — odbite od wody i piaszczystych brzegów — działa leczniczo na skórę, mięśnie i stawy (promienie ultrafioletowe i podczerwone). Znaczna wilgotność pomaga przy pielęgnacji cery i wpływa na dobre samopoczucie.

Powietrze — z dużą zawartością tlenu i ozonu wzmocnione zapachem olejków eterycznych z Wolińskiego Parku Narodowego — pobudza układ oddechowy i układ sercowo-naczyniowy.

KTO O TYM WIE?

W przychodniach leczniczych wyposażonych w lampy: kwarcowe, solux, budki—polano, diatermia i diadymimid można leczyć choroby: układu krążenia, (zaburzenia ciśnienia krwi) układu ruchu (dolegliwości reumatyczne, stany pourazowe, bóle mięśniowe, nerwobóle, lumbago, zapalenia korzonków nerwowych) oraz choroby skóry (trądzik, łuszczyca, odmroziny, wypryski, czyraki).

MIECZYSŁAW
MICHAŁ SZARGAN

ŁYŻKA

— Szczęściarz z pana, ten spod szóstki skonał. — Siostra powiedziała mu to i pobiegła do dyżurki. Po chwili weszła z inną siostrą do łazienki. Wypchnęły stamtąd wysoki wózek. W korytarzu zapiszczały kółka. Żelazo pierwsze opłakiwało umarłego.

— Będzie dzisiaj spał jak król, na prawdziwym wygodnym łóżku. — Salowa Stasia dawała do zrozumienia o co jej chodzi. Na bordowej ręce trzymała czyste prześcieradło i poszwy. Przeszła obok składanego łóżeczka, na którym leżał. Wionęło maglem i chłodną trawą. Siostry wypchnęły wzgórek otulony płótnem. Zarys człowieczej powłoki. Głowę cichą. Na korytarzu słychać było szelest słanego łóżka. Fiołek zbielał.

Coś narobiła czaszeczko.

— „Wejdę w ciepły dołek. Przyłożę głowę do poduszki, w której jego głowa stygła". Wstrząsnął nim dreszcz. Stopy zrobiły się jak dwa kawałki lodu. Kiedy był dzieckiem matka mówiła: masz zupełnie lodowate stopy. Brała stopy i kulała je w rękach, chuchała jak w zmarznięte szyby — tak nieraz ludzie przywracają życie skostniałym ptakom — jakby jego stopy były skostniałymi ptakami, najpierw jedna stopa, potem druga poruszyły się w gnieździe matczynych rąk.

— Świnia, zeszczał się. Wyrzuciłam materac na słońce. Z nimi zawsze tak jest. To chyba z bojaźni, że stanie na Ostatecznym Sądzie. Ja ich znam. Napaskudzi. Znaczy się sumienie ma brudne.

Ale taki Boga nie oszuka. Zły był, niech idzie do diabła.

Salowa Stasia stoi nad nim. Jest wielką białą górą. Góra otwiera usta, ma wargi, zęby, zza jej głowy wyrastają rogi. Wie, że to jest chustka, ale myśli: on za nią stoi, na obrazkach malują czarnego jak sadza, obrośniętego sierścią jak kozioł albo knur, a on za nią rogi ma białe.

— Tera się przeniesie, czy po obiedzie?

— Gdzie?
— Na zwolnione łóżko.
— Boję się.
— Czego?
— On... tam...
— To co.
— Umarł.
— Mówi jak dziecko.
— Boję się.
— Wie, to się boi. Na tym łóżeczku też umarło kilku. A na tamtym ozdrowiało.
— Pani Stasiu?
— No?
— To był dobry człowiek.
— Ja tam nie wiem.
— Czy oni przedtem, nim umrą, zawsze to robią?
— Co?
— Pod siebie.
— Ten nalał.
— Ale to był dobry człowiek?
— Wyglądu nie miał.
— Ale w środku.
— Bóg wie.
— Panią pytam, nie Boga.
— Jak już pyta to powiem.

Było kawał skurwysyna. Gównami we mnie rzucał.

— Chory był.
— A on by rzucał?
— Nie wiem.
— A ja wiem.
— W gorączce?
— W gorączce jak we wódce. Wyłazi świnia. To kiedy się przeniesie?
— ?

Wróbel uciekł.
Kamień się zatrzasnął.

Rolnik przyszedł do szpitala w sobotę. Szedł przez korytarz jak przez kościół. W ręce trzymał woreczek, w którym bez zaglądania wiedzieli co było: nóż, łyżka aluminiowa pokryta rdzawymi cętkami i widelec.

Od razu tak go nazwali. Skórę miał koloru końskiej sierści. Czuć go było ziemią i słońcem.

W dzień ten, czyli w sobotę wybuchła awantura. Umarł Zyzol. Białka jak porcelanowe spodeczki wywrócił na wierzch. Jeszcze dzień przedtem przyszła do Zyzola jego żona. Zyzol usiadł, wziął do ręki łyżkę i zjadł talerz rosołu. Wszystkich tym bardzo zadziwił i wszyscy orzekli, że ma mu się na życie. Policzki mu rumieniały, a nawet zawołał siostrę i kazał jej wsunąć pod siebie basen. Ale żona Zyzola jakby coś przeczuwała, albo lekarze jej powiedzieli, że to Zyzola ostatni dzień, bo kiedy odchodziła powiedziała:

— Wiesz, stanął mi zegarek, wezmę twój. Odpięła Zyzolowi zegarek i schowała do torebki.

Śmiejemy się.

Aż na płatkach kwiatów nabrzmiewają żyły.

Umarł, jakby śnieg spadł na ziemię albo piórko. Sam chyba był tą swoją śmiercią zaskoczony, bo nie dał najmarniejszego znaku. Nikt nie wiedział, która to mogła być godzina, ale był to już poranek, na pewno wstawał poranek, niebo wtedy jest niebieściutkie jak modrak albo farbka, w której bieli się pościel i jeżeli była to ta godzina, kiedy świergoczą ptaki a niebo było istotnie jak farbka lub modrak, to pięknie było mu umierać i nawet do królestwa wszedł bez przeszkód, bo na drodze zmarłym nie stoi wtedy najmniejsza chmurka.

Trup Zyzola stygł na łóżku trzy godziny. Potem ujęli go w białe płótno i jak wór zawieźli na deskj wyszorowane sodą. W oknie wietrzyły się materace. W żelaznym łóżku lśniły sprężyny.

Bez zapachniał jakby mnie matka pocałowała w usta.

Małego przygarnęła do brzucha.

Około południa żona Zyzola przyszła jak zwykle z rosołem. Stanęła w drzwiach, patrzyła na łóżko, nic nie mówiła. Podeszła do stolika i postawiła na nim garnuszek. Wysunęła szufladę. Wyrzuca: potłuszczone papiery, chustkę do nosa, przełamany grzebyk, zeschły kwiat goździka, niebieską kopertę, wykruszonego sporta, kawałek chleba, płat ligniny...

— Gdzie jest srebrna łyżka? — Zawyła jakby to nie Zyzol umarł, lecz srebrna łyżka. Łzy toczą się po policzkach. Osunęła się na łóżko: — złodzieje, skurwysyny, ukradli srebrną łyżkę.

Gdy siostry wyprowadziły ją na korytarz jeszcze słychać było: złodzieje, ja wam pokażę, ta łyżka była ze srebra, skurwysyny ukradli mi srebrną łyżkę.

Cisza.

Na lodowatych prześcieradłach ciała nasze żywe.

Długi, szczurzy szpitalny korytarz zakończony jest oknem. Z okna widać balkon. Na balkon weszła kobieta. Wniosła pełną miskę upranej bielizny. Strzepnęła majtki różowe jak wisienkowy kwiat. Wspięła się na palce. Ręką przesunęła po sznurku i przytwierdziła klamerką bieliznę. Wspięła się do sznurka parokrotnie i wyszła. Drzwi balkonu zostawiła otwarte. Podeszła do stołu nakrytego białym obrusem. Podniosła do ust szklankę. Zniknęła w głębi mieszkania. Po chwili wróciła na balkon w opalaczach. Popchnięte drzwi rzuciły słoneczną smugę. Światło otarło się o jej ramiona. Spojrzała na słońce. Podniosła rękę do głowy, drugą odgarnęła kosmyki z czoła i wsunęła w nie spinkę. Przesunęła leżak w stronę słońca. Usiadła. Odchyliła głowę i została w bezruchu.

Przez niebo leciała jasna jaskółka.

Nie rozumiał, dlaczego przyszedł do niego, mógł to powiedzieć każdemu, a na pewno mógł to powiedzieć komuś spod szóstki, przecież leżał z nimi już trzy dni i mógł się zwierzyć Jednorękiemu albo Dziennikarzowi, każdemu mógł się zwierzyć, uznał jednak, że musi powiedzieć to jemu. Usiadł na łóżku nie pytając o pozwolenie. Wyglądało to trochę tak jakby przyszedł w odwiedziny: poda mu zaraz torebkę z cukierkami, za chwilę zapyta: no, jak się czujesz, albo skłamie: doskonale wyglądasz. Uśmiechnął się do swoich myśli. Rolnik przyjął ten uśmiech jak zachętę. Przysunął się do niego jeszcze bliżej. I wtedy zobaczył na twarzy Rolnika łzy i usłyszał słowa:

— Ta kobieta z balkonu jest taka piękna. Wszelki kwiat z ogrodu i na łące, kwiat z kwiatów najpierwszy ziemniaczany kwiatuszek nie dorówna tej kobiecie do końca świata. Ta kobieta jest tak piękna a ja niedługo umrę.

„te kilka kropelek
śmiechu
w jakich
musi się odbić
gwiazda poranna".

WACŁAW MROZOWSKI

W CZWARTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI POETY

★
★ ★

Dzisiaj nie będzie wielu gości.
Imienin dzień goryczy, pełen żalu:
John Barleycorn, Canadian Whisky,
parę gramów morfiny, trochę Luminalu.

Wśród was usiądę jak samotny liść,
który opada z drzewa w południe jesienne.
Zaczekamy na kogoś, kto powinien przyjść,
ale nie wróci z dalekiej Rawenny.

I po chwili milczenia ciężkiej i kamiennej,
ostrogami zadźwięczą nalane kieliszki
przez pokój przejdzie cisza Wielkiej Bezimiennej,
a szczurołap na flecie grając zwabi myszki.

I to już będzie koniec. Wiesz mój Czarny Bracie,
w ten wieczór pogmatwany dla mnie i okropny,
czekając na pijaństwo kręcę w międzyczasie
imieninowy sznur konopny.

★
★ ★

Cóż wiesz o moim życiu? Ja o nim nic nie wiem.
Cóż o miłości wiesz, mój Barleycornie?
O śmierci cóż? Jak w wierszu nigdy się nie dowiesz,
choć razem z tobą co dzień przechodzą koło mnie.

Boję się spojrzeć w oczy każdej z nich z osobna,
chodzą za mną jak panny po gwiaździstym niebie,
pierwsza w światłach Van Gogha, a druga, żałobna
Jak Szopen. Są łudząco podobne do siebie.

I gdybyś mnie zapytał, którą z nich wybiorę,
cóż odpowiedzieć ci, mój przyjacielu?
Miłość i śmierć jednaka. Przychodzi nie w porę,
choć kocham je jak ciebie. Jak wielu, jak wielu.

HORACY SAFRIN

O tanim patriotyzmie

Po wkroczeniu Armii Czerwonej odżyło, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, obumarłe życie teatralne w moim rodzinnym mieście. Skupiły się pod czerwonym sztandarem zespoły małych form, rozśpiewane w trzech zrozumiałych dla ogółu słuchaczy językach, a i nasze studio dramatyczne raźno „ruszyło z kopyta". Na pierwszy ogień poszła rewolucyjna sztuka z 1905 roku. Kierownictwo artystyczne spektaklu spoczywało w moim ręku. Rzecz rozgrywała się jednocześnie w dwóch planach na dwukondygnacyjnej scenie. Wykraczając poza ramy autorskiego tekstu wzbogaciłem ją o efektowne, podmalowane muzycznie, intermedia masowe.

Na widowni panował nieopisany wprost entuzjazm. Aliści w pierwszym rzędzie zasiadł honorowy gość z Kijowa, onże przedstawiciel najwyższych władz w dziedzinie Melpomeny, Georgij Kazimirow. Gdy wypełniona po brzegi sala opustoszała, odbyliśmy „konsultację".

— No, cóż? — odezwał się po dłuższym milczeniu mój rozmówca. — Przedstawienie niczego sobie, dekoracje pomysłowe, inscenizacja oryginalna, macie kilku utalentowanych aktorów. Ale jedno, i to koniecznie, musicie zmienić...

Wytężyłem słuch.

— W sztuce występuje umundurowany czynownik, „nadziratiel" carskiej policji. Otóż z tej kreatury zrobiliście karykaturę, z której publiczność śmiała się do rozpuku. Jest to w naszych warunkach całkowicie błędne ujęcie. Och, nie, najmilszy! Władcy cyrkułów, więzień i kibitek, to nie byli naiwni głupcy, a szczwane, przebiegłe, wtajemniczone w arkana kryminalistyki lisy. Gdyby było inaczej, nie musielibyśmy borykać się z nimi tak długo, a nasza działalność konspiracyjna nie pociągnęłaby za sobą tylu ofiar ludzkich. Powtarzam, młody człowieku: „nie lzia", nie wolno niedoceniać wroga...

Przytoczyłem ten drobny epizod z mojej kariery reżyserskiej w nadbystrzańskim grodzie nie bez uzasadnionej przyczyny. Upłynęło od tego czasu trzydzieści okrągłutkich lat, lecz problem bynajmniej nie stracił na aktualności.

Przypomniała mi się ta rozmowa, brzmiąca poniekąd jak ostrzeżenie, gdy z wielce mieszanymi uczuciami oglądałem na szklanym ekranie serial o perypetiach wojennych sympatycznej czwórki polskich żołnierzy i przemiłego owczarka. Potem śledziłem już dość pobieżnie te same przygody bojowe, zaklęte w format książki rozchwytywanej przez naszą powojenną młodzież.

Proszę mnie dobrze rozumieć: nie mam nic przeciwko temu, że załoga czołgu „Rudy" dokonuje cudów waleczności — cum grano salis, z domieszką humoru. A jednak przedstawianie uzbrojonych po zęby Hunnów XX stulecia jako strategicznych niedorajdów i naiwniaków — to jawne niedocenianie zwyciężonego wroga. A przecież faszyzm — o czym wiedzieć powinny nasze „latorośle" — to nie dobita jeszcze, wielogłowa hydra, dająca znać o sobie w różnych krajach europejskich i zamorskich.

Jestem pełen pietyzmu dla bohaterów naszych narodowych mocy. Przeżyłem tragiczny wrzesień, a pamięć moja nie uroniła ani jednego z heroicznych czynów, którym na imię Westerplatte, obrona Warszawy, czy też udana szarża ułanów na czołgi nieprzyjacielskie.

Ale zapamiętałem również „historyczną" odpowiedź, jakiej udzielił francuskiemu generałowi ówczesny Marszałek Polski. Chodziło o niedostatek broni pancernej i mniej niż ubogie lotnictwo wojskowe.

— Ekscelencjo, entuzjazm naszych żołnierzy zastąpi czołgi i samoloty!

A premier w mundurze, Sławoj-Składkowski, który najpierw pomyślał o podwórzowych wygódkach i malowaniu parkanów na barwę zieloną, a dosłownie pięć minut przed godziną dwunastą wszczął akcję na rzecz obrony kraju — w dniu napaści hitlerowskiej grzmiał hurrapatriotycznie z trybuny sejmowej:

— Zwyciężymy, bo naszym wodzem jest Śmigły-Rydz!

Nie przebrzmiały jeszcze te butne słowa w odbiorniku radiowym, gdy rozległy się pierwsze detonacje i dwa samoloty ze swastyką zamajaczyły nad naszym miastem. Równocześnie odezwała się „obrona": na wieży elektrowni zaterkotał samotny karabin maszynowy, a granatowi policjanci, zgodnie zresztą z instrukcją, strzelali do Junkersa i Messerschmidta z... pistoletów służbowych.

W Komendzie Uzupełnień panował bałagan nie z tej ziemi, dla powołanych pod broń rezerwistów zabrakło nawet mundurów...

Nie będzie to zatem paradoks, ani pusta gra słów, jeśli pozwolę sobie stwierdzić, że tani patriotyzm prawie zawsze kosztował nas drogo.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

LOSU SWEGO KOWAL

„Powrót żurawi" *) jest trzecią z kolei książką Eugeniusza Iwanickiego, wydaną w latach 1970—71, co świadczy pochlebnie o ambicjach literackich i pracowitości autora. Poprzednie swoje książki — „Zmowa obojętnych" (powieść) i „Powódź w Dolinie Psów" (zbiór opowiadań) — zostały przyjęte życzliwie przez czytelników i krytykę, a i ta nowa spotka się na pewno z podobnym przyjęciem.

W słowie odautorskim Iwanicki w następujący sposób charakteryzuje treść „Powrotu żurawi": „Jest to opowieść o Człowieku, którego znałem, podziwiałem, darzyłem jedną z najbardziej skrytych miłości, lecz którego nigdy nie umiałem pojąć ani zrozumieć. Wielkość tego Człowieka przerastała moje wyborażenia o świecie i ludziach..." Zaś w innym miejscu swej książki Iwanicki uzupełnia tę charakterystykę pisząc: „Postępował (ten Człowiek — przyp. rec.) w myśl przykazań boskich i ludzkich, a nie był wierzącym. Miał gotowe pomysły, inspirował ich realizacje, pomagał. To dziwiło, lecz zjednywało szacunek(...) Ślepotę uważał za największe kalectwo. To nieprawda, że ulegamy złudzeniom, po prostu nie umiemy dostrzegać właściwych proporcji. Więc należy widzieć, dotykać i tworzyć. W tym cały sens życia".

Ta charakterystyka bohatera powieści Iwanickiego jest niewątpliwie trochę ogólnikowa. Pora więc zapytać, jakie są jej konkretne uzasadnienia. Jedno z nich, bardzo istotne, mówi, że ten Człowiek imieniem Paweł, brał czynny udział w Rewolucji Październikowej, walcząc w szeregach Armii Czerwonej z białogwardzistami. Ale potem w życiorysie Pawła następuje wielka luka. Od autora dowiadujemy się tylko, że ów tak bliski mu Paweł miał życie bardzo ciężkie i burzliwe. Nic więcej. Losy Pawła stają się nam wiadome dopiero od chwili, gdy jako repatriant zza Bugu, a ściślej mówiąc aż z dalekiego Kazachstanu, dokąd zagnały go wichry wojenne, przybywa po wojnie do Polski wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Ponieważ rolnikiem nie był, musi się imać innych zajęć, aby zapewnić bardzo skromną egzystencję rodzinie i sobie. Po pewnym czasie Paweł otrzymuje jakąś poniemiecką ruderę z kawałkiem zachwaszczonego ogrodu w okolicach Łodzi. Zaczyna on pracować jako portier w fabryce, a później nocny dozorca na placu budów. Byt rodziny Pawła stabilizuje się: dzięki jego niezmordowanym wysiłkom i zapobiegliwości dom i ogród przybierają „ludzki", zamieszkały wygląd. Życzliwy i przyjacielski dla wszystkich, służący każdemu pomocą i dobrą radą, Paweł zyskuje w miasteczku powszechny szacunek i uznanie, przełamuje barierę uprzedzeń i nieufności, jaka dzieliła go początkowo od społeczności zasiedziałych mieszkańców miasteczka. Lata płyną. Dzieci Pawła kończą szkoły i usamodzielniają się, zakładają rodziny. Ale stosunki syna i córki z Pawłem — z różnych powodów nie są najlepsze. Paweł zaczyna odczuwać ciężar starości, chorób i tego, co najdotkliwsze: samotności. I wówczas Paweł „rozmyślał nad swoim życiem, dochodząc do wniosku, że nie zostało zmarnowane, choć należało w swoim czasie dokonać niejednej korekty..."

Świadomość potrzeby takich „korekt" właściwa jest ex post chyba bardzo wielu starzejącym się ludziom, którzy przecież życia nie zmarnowali... A finał Pawłowego żywota przyszedł niespodziewanie i tragicznie.

„Powrót żurawi" — mimo niedostatku szczegółów faktograficznych w życiorysie jej głównego bohatera jest przede wszystkim interesująco i „z sercem" nakreślonym portretem prostego, lecz prawego i rozumnego człowieka. Portret ten nie jest wyidealizowany, posiadacz wielu cnót i zalet, Paweł, nie traci przecież rysów i cech człowieczeństwa. W powieści Iwanickiego są, oczywiście, pewne usterki: niektóre dialogi (np. Pawła z Cyganem) brzmią nieco „papierowo", monologi wewnętrzne Pawła spotykamy zbyt często, trafiają się dysproporcje w konstrukcyjnych wymiarach tych czy innych epizodów. Ale w zamian za te grzeszki (nie grzechy „śmiertelne") autor dał nam poważną satysfakcję, unikając szczęśliwie publicystycznej dydaktyki w obrazie przemian społeczno-gospodarczych, jakim uległo owo miasteczko Pawła w toku lat powojennych: nie „protokolarne" stwierdzenia i wyliczania, lecz żywe przekonywające fragmenty powieściowej narracji mówią nam o istocie i zasięgu wspomnianych przemian i ich wpływie na losy mieszkańców zaniedbanego dawniej pod każdym względem miasteczka.

Sądzę, że „Powrót żurawi" jest poważnym krokiem naprzód w rozwoju sił twórczych autora, który niewątpliwie ma jeszcze wiele do powiedzenia swym życzliwym czytelnikom.

*) Wydawnictwo Łódzkie, str. 148, cena zł 10.—

Półka z książkami

KSIĄŻKA O NRF

Wziąłem tę książkę *) do ręki z najwyższym zaciekawieniem. Bowiem interesuje mnie wszystko, co dotyczy Niemiec w ogóle a Niemiec zachodnich w szczególności. Ryszard Wojna przebywał w NRF pięć lat jako korespondent prasy polskiej. Wprawdzie jego komentarze telewizyjne w czasie rokowań polsko-zachodnioniemieckich i później były schematyczne i leżały tak straszliwie „na linii", że o ryzyku wychylenia się z własnym zdaniem nie mogło być mowy, ale — pomyślałem sobie — co innego bieżący komentarz, a co innego książka, podsumowująca wieloletnie doświadczenia i obserwacje. Istotnie „Spokojnie płynie Ren" to rzecz pomyślana bardzo ciekawie. Autor odbywa podróż po Renie od jego źródeł aż do stolicy NRF — Bonn i opisuje krajobraz, miasta i ludzi po obu stronach tej niemieckiej rzeki. Wojna nie unika również dywagacji historycznych, tu i ówdzie sypnie ciekawą cytatą, przytoczy anegdotę.

Ale książka ta byłaby o wiele lepsza i bardziej strawna w czytaniu, gdyby autor napisał ją zwyczajnie i po prostu, a nie silił się na specjalny styl, który często staje się zły i pretensjonalny. Oto próbka: „Gdy stosunki niemiecko-francuskie — nie te na szczeblu urzędowym, ale zwyczajnie ludzkie — mierzyć wodą, jaka upłynęła w Renie, to w ciągu ostatniego dwudziestopięciolecia upłynęło tej wody więcej niż po którejkolwiek poprzedniej wojnie. Pękł łańcuch zazębiających się ogniw nienawiści i wojny. Temperatura pasji ostygła. Wrzące kiedyś żądzą odwetu narody zobojętniały sobie". Jakże to źle i pretensjonalnie napisane! Takich kwiatków można przytoczyć wiele. „Wracaliśmy z powrotem na Ren" — pisze Wojna czyli mamy tu masło maślane. A oto styl obrazowy: „Wzmocniony obfitym w wodę dopływem Menu Ren przyśpiesza odtąd bieg, jak gdyby popchnięty." Zepsuło mi to lekturę książki, po której spodziewałem się znacznie więcej.

*) Ryszard Wojna: „SPOKOJNIE PŁYNIE REN", Czytelnik, Warszawa 1971

WSPOMNIENIA HELSZTYŃSKIEGO

Stanisław Helsztyński, poeta, powieściopisarz, anglista i historyk literatury polskiej, ogłosił nową pozycję, tym razem wspomnieniową pt. „Dobranoc, miły książę". * Autobiografia znanego pisarza i eseisty obejmuje wiele lat jego życia i pracy. Urodzony, wychowany i wykształcony w Wielkopolsce, wydał 9 zbiorów wierszy, 3 powieści, 8 publikacji przekładowych, 10 tomów studiów i rozpraw, 4 monografie (w tym o Stanisławie Przybyszewskim i Janie Kasprowiczu) oraz 3 książki podróżnicze. Dorobek obfity, zwłaszcza, że wypadnie jeszcze doliczyć rzeczy rozsypane po czasopismach, przedmowy i posłowia oraz opracowania autorów polskich i obcojęzycznych.

Autobiografia zawiera wiele ciekawego i cennego poznawczo materiału o czasach i ludziach. Stanisław Helsztyński, doświadczony wykładowca i pedagog, miał wiele kontaktów z uczonymi polskimi i zagranicznymi, z młodzieżą studencką, z pisarzami. Nas, ze względów zrozumiałych, interesują kontakty Helsztyńskiego ze Stanisławem Czerniakiem, niegdyś wielkopolaninem, redaktorem „Okolicy poetów", a po wojnie — mieszkańcem Łodzi. Wiele miejsca poświęca autor wspomnieniom o Kasprowiczu i Przybyszewskim. Szczególnie o tym ostatnim Helsztyński ma bardzo dużo do powiedzenia, napisał przecież o nim monografie oraz wydał jego listy. Autobiografię „Dobranoc, miły książę" czyta się z przyjemnością. Napisana lekko, nie po profesorsku, zainteresuje każdego oświeconego czytelnika.

jk.

*) St. Helsztyński: „DOBRANOC, MIŁY KSIĄŻĘ", LSW, W-wa 1971 r.

„PAMIĘTNIK PIOTRA KALEKI"

Bardzo rzadko mamy do czynienia z debiutem tak dojrzałym i interesującym, jakim jest powieść Jugosłowianina Slobodana Selenića pt. „Pamiętnik Piotra Kaleki" *), wydana w serii Współczesna Powieść Światowa. Selenić, absolwent wydziału filozoficznego Uniwersytetu Belgradzkiego, przez pewien czas był recenzentem i krytykiem teatralnym w „Borbie", obecnie jest docentem w Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej oraz redaktorem naczelnym czasopisma teatralnego. W roku 1964 Selenić ogłosił antologię „Teatr awangardowy", w roku następnym opublikował książkę poświęconą teorii dramatu. Może i nie warto byłoby o tym wspominać, gdyby nie fakt, że w prozatorskim debiucie darmo szukać śladów jego dotychczasowych zainteresowań. „Pamiętnik Piotra Kaleki", za którą to książkę autor otrzymał w 1968 r. najwyższe w Jugosławii wyróżnienie w dziedzinie literatury — Nagrodę Październikową, demaskuje nieprawidłowości życia społecznego Jugosławii i odsłania prawdziwe twarze działaczy politycznych, którzy często dzięki przypadkowi wybili się podczas wojny, a potem zdobyli wysokie stanowiska. Akcja powieści toczy się podczas jednego dnia i w jednym mieszkaniu. Jej bohater — Piotr, kaleka bez nóg, przygląda się z inwalidzkiego wózka swoim najbliższym i analizuje kolejne fakty swojego życia. Bezgłośny monolog, kierowany do dawno zmarłego człowieka, jest drapieżny w ocenie ludzi oraz bezlitosny i okrutny w sądach. Kaleka patrzy na ludzi jak na tę resztę, która może chodzić. Głęboko nienawidzi i pogardza nimi, niczego dobrego od nich nie zaznał i nic nie umiał dać od siebie. Decydującym momentem jest końcowa scena samobójstwa matki — prostej, milczącej kobiety, jedynej zresztą powieściowej postaci, która zdobywa sobie sympatię czytelnika. Powieść Selenića na pewno będzie budzić kontrowersje.

*) Slobodan Selenić — „PAMIĘTNIK PIOTRA KALEKI", PIW, W-wa 1971,

NAUCZYCIELE W OKUPOWANEJ ŁODZI

Autorska spółka: dziennikarz i nauczyciel — Sergiusz Jaśkiewicz i Mieczysław Woźniakowski, z różnych źródeł zebrała materiały o walce polskiego nauczycielstwa w latach 1939—45. Są to fragmentaryczne zapiski nauczycieli, notatki historyka, rodzinne pamiątki — listy i zdjęcia, wreszcie udostępnione przez UŁ materiały obrazujące formy działalności nauczycielstwa w Łodzi i województwie. Formy walki, której posłannictwem było utrzymanie ducha polskiego w narodzie, miały charakter wielce złożony. Bo nie tylko imponująca organizacja Komitetu Obywatelskiego (inicjatywa nauczycieli z Zygmuntem Lorentzem na czele) obejmująca administracyjnym programem o charakterze władzy, pieczę nad życiem miasta, ale brawurowe zorganizowanie życia szkolnego, normalnego toku pracy szkół. Po ich likwidacji, niemal bezbłędne formy „tajnych kompletów" kierowane przez Tajną Organizację Nauczycielską (TON). Rezultaty olśniewające (dokumentowane statystyką) stanowią o wymowie tej, zwielokrotnionej krwią, patriotycznej sprawy.

Autorzy nie ograniczyli się do faktograficznej relacji — każdy dokument i przyczynkarski „gazetowy wycinek", opatrują żywym i celnym uogólnieniem.

Z. M.

„ISKRY W PODZIEMIU", Sergiusz Jaśkiewicz, Mieczysław Woźniakowski, Wyd. Łódzkie, 1971, cena 20 zł, str. 245.

Przeszłość i teraźniejszość

SIŁA ZŁEGO

4 lipca 1943 roku — wypadek, czy zbrodnia? Jeżeli jednak byłby to zamach, to z czyjej strony? Wokół katastrofy gibraltarskiej, w której poniósł śmierć generał Władysław Sikorski, powstało bardzo wiele domysłów, trudnych, jeżeli nie wręcz niemożliwych do zweryfikowania. Dopóki pozostawały one tylko w kręgu naszych, polskich sporów, nie budziły większego zainteresowania u obcych. Kiedy jednak zachodnioniemiecki dramaturg Rolf Hochhuth w sztuce „Żołnierze" oskarżył Anglików, w szczególności zaś Winstona Churchilla, o spowodowanie śmierci polskiego generała, podniosła się ogromna wrzawa. Nie miejmy złudzeń, że jej przedmiotem był Sikorski. Chodziło o brytyjskiego premiera z czasów wojny, którego jedni, jak David Irving w swej pracy „The Death of General Sikorski. Accident" (1967) obciążali odpowiedzialnością za „wypadek" gibraltarski, drudzy zaś, jak Carlos Thompson (właściwie J. C. Mundin), autor książki „The assassination of Winston Churchill" (1969) oczyszczali ze wszelkich zarzutów, jako ponoć rycerza bez skazy. Historyk, który staje wobec tego sporu, dysponuje arcyciekawym materiałem dotyczącym kształtowania się i rozwoju legendy bohatera (angielskiego), czuje się jednak bezradny wobec ułomności swej własnej dyscypliny badawczej, skoro im bardziej zgłębia ów problem, tym mniej pewnego wie o niewyjaśnionej zagadce katastrofy gibraltarskiej. Czy doczeka się ona swego rozwiązania? Jak dotychczas, wcale się na to nie zanosi.

Piszę te słowa już po przeczytaniu nowej książki Stanisława Strumph-Wojtkiewicza „Siła złego", opublikowanej właśnie (1971) przez „Książkę i Wiedzę", w której znalazła się przecież taka próba. Pod wpływem zagranicznej i polskiej dyskusji powrócił on do spraw, o których pisał już w pierwszych latach po zakończeniu wojny, raz jeszcze sięgnął do własnej pamięci, szukał informatorów, docierał do najróżniejszych źródeł, aby zgłębić prawdę o katastrofie w Gibraltarze. „Drążyłem podziemną tajemnicę gibraltarskiej tragedii z dwu stron — napisze St. Strumph-Wojtkiewicz pod koniec swej książki — od analizy postępowania Brytyjczyków i przez penetrację emigracyjnego środowiska polskiego". Gromadził więc najdrobniejsze nawet dowody i poszlaki, mające potwierdzić sformułowaną już w czasie sporów wywołanych utworem Hochhutha tezę o nielojalności brytyjskich kół politycznych względem polskiego sojusznika, co doprowadziło go do konkluzji, że Sikorski zginął w czasie „kiedy Churchill prowadził aż dwie gry podwójne: łudząc Sikorskiego, na boczku przyznawał Związkowi Radzieckiemu głos decydujący w sprawie polskiej, a jednocześnie — choć był sojusznikiem — już wtedy przygotowywał przyszłą irredentę Polaków przeciw Moskwie". Dlatego też „nie hetman więc — jak Sikorski — tylko jakiś polski pioneczek — jak Anders — stawał się potrzebny w końcówce II wojny światowej. Pioneczkowi temu szli na rękę ludzie z aparatu Churchilla". Jednocześnie zaś gromadził St. Strumph - Wojtkiewicz materiał oskarżający polskie emigracyjne koła wojskowo-polityczne o irredentę przeciwko Sikorskiemu. „Historia zna sytuacje — pisze autor — w których trudno postawić „kropkę nad i", bo zadałoby to cios śmiertelny jakiejś strukturze arcyważnej lub za arcyważną uchodzącej. Nie każdy decyduje się na oskarżenie własnej rodzinki. Pod tym względem Irving, ma wielką zasługę".

Nie mam przeświadczenia, czy autor zdołał przekonać swych czytelników do pierwszej, „brytyjskiej" strony swojego oskarżenia. Za wiele w niej zagadkowych telefonów, emerytowanych generałów prowadzących poufne, szczere rozmowy i innych jeszcze elementów absolutnie niesprawdzalnych dla historyka. Natomiast druga, emigracyjno-polska linia oskarżenia podjętego przez St. Strumph-Wojtkiewicza, ta zarazem, która najbardziej nas obchodzi, stanowi silniejszą stronę jego rozważań. Owe organizacje „młodooficerskie", grupki i spiski, istniejące już na terenie Związku Radzieckiego, plany zamachów na Naczelnego Wodza, w które były zamieszane wybitne osobistości ze świata wojskowego i politycznego, to wstrząsające świadectwo rozkładu politycznej formacji, która dzierżyła ster rządów w Polsce do 1939 roku. To jednocześnie zimny kubeł wody na głowę tych wszystkich, którzy pragnęliby spoglądać na sanację przez okulary o zbyt różowych szkłach. Udało się wreszcie St. Strumph - Wojtkiewiczowi wykroczyć poza krąg osób, o których zwykło się mówić w związku z katastrofą gibraltarską. Czy polski oficer łącznikowy por. Ludwik Łubieński, „hrabia Lulu", który tak chętnie odstąpił swe miejsce w samolocie generała kanonierowi Janowi Gralewskiemu, miałby o śmierci Sikorskiego więcej do powiedzenia, nż ujawnił dotychczas? Nie jest Strumph-Wojtkiewicz wobec tych spraw neutralny, jak nie jest — wbrew oświadczeniu na wstępie książki — całkowicie „bezinteresowny" w swym stosunku do Sikorskiego. I może właśnie dlatego z taką pasją wtargnął do owej „diabelskiej kuchni, w której został spreparowany przepis na pozbycie się europejskiego męża stanu i szermierza przyszłości Polski". To słowa autora.

JÓZEF GRZELAK

„OPOWIEŚCI LASKU WIEDEŃSKIEGO"

W Teatrze Nowym — polska prapremiera sztuki Oedena von Horvatha „Opowieści Lasku Wiedeńskiego".

Horvath? Autor w Polsce nie znany, chociaż jedno z jego 19 dzieł scenicznych — „Sąd ostateczny", w przekładzie Romana Brandstaettera — ukazało się w „Dialogu" (luty 1965), a tuż przed wojną, w roku 1938, wydano we Lwowie jego powieść „Młodzież bez Boga" w tłumaczeniu I. Bermana. Pierwszego czerwca tegoż 1938 roku, 36-letni emigrant Oeden (Edmund) von Horvath zginął w Paryżu, zabity w czasie burzy przez zwalający się na skutek huraganu stuletni kasztan.

Od roku 1933 Horvath, austriacki pisarz węgierskiego pochodzenia, laureat niemieckiej nagrody im. Kleista, uciekał przed nazistami, których z niebywałą dramaturgiczną pasją opisał w sztuce „Włoska noc" (1930). Po prapremierze tej sztuki nazistowski „Voelkischer Beobachter" wymienił Horvatha jako jednego z tych, których trzeba będzie zgładzić po nastaniu tysiącletniej Trzeciej Rzeszy. (Horvath zasłużył sobie na nienawiść hitlerowców nie tylko jako pisarz, ale i bezpośrednio jako świadek w rozprawie przeciwko bojówkarzom).

Wystawienie w Łodzi „Opowieści Lasku Wiedeńskiego" zbiega się w czasie z „Międzynarodowym Kolokwium Horvatha", zwołanym przez zachodnioberlińską Akademię Sztuki. Tytuły zgłoszonych referatów pozwalają zorientować się, jakie znaczenie przypisują Horvathowi teatrologia i germanistyka: „Horvath i współczesna dramaturgia", „Dramaturgia sztuk ludowych Brechta i Horvatha", „O recepcji Horvatha", „W sprawie edycji dzieł Horvatha" itd. Na „Międzynarodowe Kolokwium Horvatha" zjadą się do Berlina literaturoznawcy, dramaturdzy, teatrolodzy z Austrii, Węgier, Szwajcarii, NRD, Francji, NRF, USA.

Tych kilka wiadomości dla charakterystyki pozycji pisarskiej Horvatha. Teatr Nowy zasługuje więc na wdzięczność za to, że jako pierwszy w Polsce podjął się wystawienia sztuki tego pisarza. Również wybór „Opowieści" wydaje się trafny. Sztuka ta przeciwstawia eksportowemu, idyllicznemu Wiedniowi prawdę o nim, ściślej — jedną z możliwych artystycznych mutacji prawdy. Polska publiczność, i nie tylko polska, od dziesiątków lat przyjmuje, przeważnie z zachwytem, obrazki Wiednia, takie rozpowszechniane są jak gdyby w interesie austriackiego przemysłu turystycznego. Na ten eksportowy Wiedeń składają się wyłącznie przyjemne realia. Za muzyczny ich wyraz uchodzić może dzieło Jana Straussa — syna, właśnie „Opowieści Lasku Wiedeńskiego".

Między Horvathem a łódzką inscenizacją zachodzi, niestety, nieporozumienie, bowiem z pretekstu dramaturgicznego, którym posłużył się Horvath, zrobiono istotę spektaklu. I tak, „Opowieści" prezentowane są w Łodzi jako melodramat. Ten nie zamierzony przez autora efekt osiągnięto drogą wielu skreśleń.

Liczne skreślenia oraz prowadzenie aktorów, wśród nich wielu znanych i o wypróbowanym talencie, przekształcają „Opowieści" w melodramacik. Zauważono w tej sztuce wyłącznie to, co leży na powierzchni. Nie rozszyfrowano np., że rzeźnik Oskar, ten pełen czułości i subtelności narzeczony Marianny oraz jego czeladnik, brutalny Hawliczek, są jedną i tą samą osobowością — Oskar jej świadomością, Hawliczek wyzwoloną podświadomością. Ale właśnie te kluczowe epizody skreślono. Pierwszy, w którym Hawliczek daje werbalny upust żądzy mordu, drugi, w którym subtelny Oskar (o nim już wcześniej wiadomo, że całując — gryzie, nie wiedząc o tym) ulega napadowi sadyzmu maskowanego jako pokaz jiu-jitsu. Pozbawiono również sensu np. postać byłego c.k. rotmistrza, zmuszonego do poufałości z plebsem. W nie zamierzonym przez autora melodramacie postępowanie rotmistrza wypływa z czystej szlachetności, podczas gdy według Horvatha spektakularna próba pojednania ojca z upadłą córką jest niczym innym, jak podświadomym znęcaniem się rotmistrza nad pogardzanym środowiskiem, ze sztabową precyzją zorganizowany akt zemsty nad pospólstwem. Niechęć sięgania w głąb Horvathowskiej treści zdradzają również detale, które są nimi tylko na pozór, na przykład: w tekście tłumaczenia powiedziane jest, że MAGIK siadając pod krzakiem, spostrzega gorset rozbierającej się w ukryciu Walerii, bierze go do ręki i wącha. Odautorska uwaga, w tłumaczeniu nie dokończona, dodaje, że Magik odkłada gorset, ponieważ nie pachnie zbyt imponująco. W spektaklu natomiast Magik bierze, ogląda i odkłada — czyli, że ten szczegół w procesie demaskowania świadomości został (może jako zbyt brzydki) opuszczony, tym razem z winy przekładu, zdaje się. Ale właśnie demaskowanie świadomości i poprzedzający ten efekt łańcuch szczegółów walki między świadomością a podświadomością jest głównym motywem wszystkich sztuk Horvatha, jak twierdzi przekonywająco opiekun edycji jego dzieł, Traugott Krischke. Przytoczone uogólnienie nie kłóci się z fak-

tem, że „Opowieści" są biografią drobnomieszczańskiego środowiska Wiednia z końca lat dwudziestych. Struktura tej sztuki ludowej („Volksstueck") jest kontrapunktowa, jeśli tak rzec wolno, czyli że na ograniczoną całość składają się samodzielne w nastroju i motywie obrazy. Z kolei w każdym z nich objawia się sprzeczność między świadomością postaci a ukrytymi w podświadomości siłami, co prowadzi do wybuchu, ekscesu czy innej mocno zaakcentowanej pointy. Właśnie suma tych point jest biografią środowiska, o którą w tej sztuce chodzi, a co w łódzkiej inscenizacji nie wychodzi.

Owszem, bywa, że inscenizator traktuje tekst autora jako surowiec dla urzeczywistnienia własnej wizji przedmiotu. Ale musi to być inscenizator wzrostu artystycznego autora. Łódzka inscenizacja jest wypracowaniem nie na zadany przez Horvatha temat.

Zdumiewająca scenografia! Na biografię środowiska składają się również przedmiotowe realia. A oto widzimy, że „trafika" wiedeńska podaje ceny w niemieckich fenigach, zamiast w austriackich groszach, że kafejka reklamuje whisky marki Johnny Walker — sloganem powstałym w prawie czterdzieści lat po czasie scenicznym „Opowieści" i to nie w Austrii, lecz NRF w czasie „cudu gospodarczego" z jego „Sauf- und Fresswelle" (fala pijactwa i żarłoczności).. Nie czepiajmy się drobiazgów, ale, niestety, drobiazgi czepiają się nas, np. zupełnie niewarygodna kostiumologia i pustka na scenie wówczas, kiedy tam powinien być widowiskowy tłok, jak przystało na sztukę ludową. Tłok skreślono, bo tłoczyły się tam epizodyczne postacie, nosiciele anegdotycznej dramaturgii, której mistrzem był Horvath .Zapewne nie jest drobiazgiem, że skreślono ze sceny w „Maximie" i to:

KONFERANSJER: (znów wychodzi przed kurtynę). Obraz drugi: nasz Zeppelin (Okrzyki „brawo"). Można prosić, panie kapelmistrzu... (Rozbrzmiewa „Fridericus Rex" — zaś na scenie pokazują się trzy nagie dziewczęta: jedna trzyma w ręku śmigło, druga globus, trzecia mały model Zeppelina — publiczność szaleje, zrywa się z miejsc i śpiewa pierwszą zwrotkę „Deutschland, Deutschland ueber alles!"

Czy biografia środowiska jest prawdziwa, jeśli się skreśla, co Horvath podkreśla? Horvath uważał za niezbędne pokazanie wielkoniemieckich nastrojów austriackiego drobnomieszczaństwa, które przerodziły się w najbardziej autentyczny hitleryzm. Kto kogo upoważnił do odpolitycznienia tej sztuki?

LE-BE

„OPOWIEŚCI LASKU WIEDEŃSKIEGO" Oedena von Horvatha w przekładzie Huberta Orłowskiego. Reżyseria: Jerzy Zegalski, scenografia: Andrzej Sadowski, muzyka: Piotr Marczewski, choreografia: Jan Uryga. Aktorzy: Andrzej May, Celina Klimczak, Janina Jabłonowska, Bogusław Mach, Ewa Zdzieszyńska, Bogusław Sochnacki, Marian Stanisławski, Wojciech Pilarski, Aleksandra Krasoń, Ilona Bartosińska, Ludwik Benoit, Zbigniew Nawrocki, Zofia Grążiewicz, Barbara Gołębiewska, Stanisław Szymczyk, Ryszard Dembiński, Bolesław Nowak.

STANISŁAW POWOŁOCKI

Na marginesie rozmów o teatrze

OSTATNIO sporo się mówi i pisze o niektórych zjawiskach w twórczym życiu naszych teatrów. Różnie je się ocenia. Nie chodzi tu bynajmniej o tzw. kryzys twórczy. Zresztą, z doświadczeń wielu dziesiątków lat wiadomo, że tzw. kryzys jest w życiu teatru zjawiskiem permanentnym, normalnym, a nawet pozytywnym. Jest bowiem świadectwem aktywnego życia twórczego. Organizm teatru, zresztą, nie znosi ustabilizowanej monotonii. Nie ma też mowy o jakimś konkretnym niebezpieczeństwie, zagrażającym teatrowi z zewnątrz. Ile to już razy na przestrzeni chociażby minionego półwiecza mówiono i pisano o „zagładzie" i „zmierzchu" teatru. Dużo pisano o tym, gdy, na przykład, ukazały się filmy dźwiękowe i mówione. Dziś, według dość rozpowszechnionej opinii, zwycięskim rywalem teatru jest rzekomo telewizja. Zapomina się jednak o tym, że każde z tych poszczególnych rozgałęzień sztuki widowiskowo-scenicznej, o ile tak można się wyrazić, wychodząc ze wspólnego założenia posiada, a przynajmniej powinno posiadać, **SAMODZIELNY**, całkiem odrębny język twórczy. Jest to zasadniczy i główny warunek racji bytu filmu, telewizji, lub teatru, jako sztuki.

Język twórczy teatru jest najstarszym, zwycięsko wytrzymującym tzw. „próbę czasu". Jest dowodem i świadectwem istotnej wartości tzw magii „żywego słowa" i „żywego aktora", działającego na scenie.

Są to jednak prawdy oczywiste i znane już oddawna. Wróćmy do zagadnienia poruszonego na wstępie. A więc, czy nasz teatr, a raczej nasze teatry, istotnie na coś cierpią? Diagnozy są różne. Najczęściej sprowadzają się do następujących stwierdzeń i sądów: brak tzw. „nowoczesności" lub odwrotnie — jej nadmiar. Przewaga zbyt despotycznej tzw. „wizji reżyserskiej", czyli inscenizacyjnej koncepcji twórczej reżysera, pognębiającej autora, po prostu czasem nie liczącej się z nim, a nawet również aktora, uważanego, w tym wypadku tylko za jeden, i to nie koniecznie najważniejszy, ze współczynników widowiska scenicznego. Przeniesienie punktu ciężkości na stronę wizualną przedstawienia, czyli przewaga scenografii ze szkodą nieraz dla samej wystawianej sztuki. Brak umiaru w tzw. „udziwnieniu", celem którego jest zafascynowanie, za wszelką cenę, widza, nadmiarem pomysłów, zwrócenie jego uwagi wyłącznie na inscenizatora i scenografa. W konsekwencji, prowadzi to nieraz do zniekształcenia myśli przewodniej oraz treści wystawianego utworu. Przewaga formy nad treścią lub odwrotnie itp.

Ten „wykaz", oczywiście, nie jest pełny. Ale w gruncie rzeczy, jest on może nie tyle spisem grzechów i „niedociągnięć", ile raczej dowodem istnienia i starcia między sobą różnych, czasem mylnych i nawet szkodliwych, a czasem udanych koncepcji twórczych. Zresztą, mogą one się podobać lub nie. Jednak chodzi tu o coś innego. Zaczynamy to rozumieć, gdy mowa jest o repertuarze. Rzecz wiadoma, że poza aktorem, repertuar jest zasadniczą podstawą teatru. Właśnie on łączy teatr jak najściślej z jego odbiorcą, czyli widzem. A przecież bez widza samo istnienie teatru traci rację bytu.

Rzecz jasna, jak olbrzymiego znaczenia w tych warunkach nabiera zagadnienie utrzymania takiego stałego, ciągłego i aktywnego kontaktu między teatrem a widzem. I właśnie dlatego wielkie znaczenie posiada również odpowiedni dobór repertuaru, proces jego ułożenia, czyli po prostu plan jako taki. Taki plan świadczy o całokształcie twórczej i społeczno-ideowej pracy teatru, o jego obliczu, celach twórczych, o stopniu wnikliwości, absolutnie w tym wypadku niezbędnych i koniecznych, studiów nad widzem i otaczającą go rzeczywistością.

Tego rodzaju studia, poprzedzone szczegółową i wnikliwą analizą, są także świadectwem istotnej potrzeby danego teatru na danym terenie. Dowodem jego więzi z odbiorcą oraz umiejętności odpowiedniego powiązania tych zagadnień z problemem ideowego i teatralnego wychowania widza. Dowodem włączenia teatru do arsenału środków, będących w służbie postępu społecznego.

Są to prawdy stare i oddawna dobrze znane doświadczonym działaczom teatralnym. I właśnie tu, chodzi o pewien bardzo istotny szczegół. Jest on szczególnie aktualny, gdy się mówi o mankamentach naszego życia teatralnego. Według utartej opinii, istniejącej bynajmniej nie od dnia dzisiejszego i opartej o doświadczenie praktyczne — jednym z zasadniczych czynników, poniekąd regulujących i podtrzymujących „równowagę" między twórczymi zamierzeniami teatru, a jego więzią z widownią — jest dość prozaiczna, ale bardzo istotna, zwłaszcza, gdy chodzi o plan repertuarowy, kwestia natury raczej finansowo-materialnej. Z grubsza biorąc polega ona na zsynchronizowaniu i uzgodnieniu odpowiedzialności arty-

PÓŁKA z KSIĄŻKAMI

DRAMATY DE GHELDERODE

W roku 1963 Łódzki Teatr Nowy wystawił na Małej Sali sztukę Michaela de Ghelderode „Czerwona magia" w przekładzie Zbigniewa Stolarka. Sztuka belgijskiego autora zwróciła uwagę swoją drapieżnością, a nawet pewnym okrucieństwem, wystawienie jej uznano słusznie za swoiste wydarzenie teatralne. Obecnie ukazał się po raz pierwszy w języku polskim opasły tom dramatów Michaela de Ghelderode, zawierający czternaście sztuk tego pisarza, w przekładzie i ze słowem wstępnym Zbigniewa Stolarka. Wybór obejmuje więc najcenniejsze utwory dramatyczne pisarza, który w repertuarze teatrów (obcych i naszych polskich) posiada swoje ważne miejsce. Z obszernego i kompetentnego wstępu tłumacza dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy zarówno o życiu jak i twórczości autora „Czerwonej magii" i „Wędrówek mistrza Kościeja".

Wydaje się też, że teatry nasze winny częściej, niż dotychczas, sięgać po jego sztuki. I nastał chyba czas, abyśmy znowu ujrzeli którąś ze sztuk de Ghelderode na scenie jednego z teatrów łódzkich. Osobiście głosowałbym za prezentacją „Szkoły błaznów" lub „O diable każącym o cudach". Pięknie wydany tom ozdobi każdą bibliotekę, nie tylko teatralną. Przekłady Zbigniewa Stolarka nienaganne, o czym piszący te słowa miał okazję powiedzieć i napisać również przy innej okazji.

J. K.

Michael de Ghelderode „TEATR", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, str. 673, cena zł 80.—

WACŁAWA KASPRZAK

A może by i u nas?

W osiedlu mieszkaniowym „Piekary" w Bytomiu usytuowano blisko 400 ogródków działkowych, które stanowią integralną część osiedla i są jednocześnie miejscem wypoczynku. Mieszka tu ponad 24 tysiące osób, z których lwią część stanowią górnicy kopalni „Julian". Ten osiedlowy ośrodek rekreacyjny powstał — niemal równocześnie z blokami mieszkalnymi — przede wszystkim dzięki pracy społecznej mieszkańców „Piekar". W ubiegłym roku oddano tu do użytku piękny basen kąpielowy, w tym roku trwa dalsza rozbudowa ośrodka, powstają boiska sportowe, zarybia się staw — marzenie tutejszych wędkarzy-hobbystów. W przyszłym roku rozpocznie się budowę drugiego z kolei basenu oraz strzelnicy i kortów tenisowych. W ten sposób cały, 28-hektarowy teren stanie się niebawem wzorowym osiedlowym ośrodkiem wypoczynkowym. Z dalszych planów wynika, iż w momencie, gdy rozbudowujące się osiedle będzie już liczyć około 40 tysięcy mieszkańców, nie będzie tu problemów ani z odpoczynkiem po codziennej, ciężkiej pracy, ani z niedzielnym weekendem.

Znakomity pomysł. Patrzę na to osiedle mieszkalne z własnym ośrodkiem wypoczynkowym, które można by z powodzeniem nazwać przyzakładowym, gdyż służy przede wszystkim pracownikom jednej kopalni i — choć to uczucie bardzo brzydkie — wzdycham z zazdrością. Bo przecież i u nas w Łodzi można by w podobny sposób rozwiązać niejeden problem wypoczynku dla włókniarzy w czasie wolnym od pracy. Na początek, sądzę, trzeba by zainteresować tą myślą zakłady pracy, choćby nawet tylko te większe, na przykład „Marchlewskiego". O ile mi wiadomo, powstaje obecnie duży ogród działkowy tych zakładów, czy by więc nie pokusić się, żeby na jego terenie wznieść obiekty służące celom rekreacyjnym. Mogliby z tego kompleksu rekreacyjnego korzystać nie tylko pracownicy ZPB im. Marchlewskiego, ale również mieszkańcy pobliskiego osiedla mieszkaniowego. Nie ulega wątpliwości, że przy budowie takiego obiektu pomogliby i pracownicy fabryki i mieszkańcy osiedla.

* ★ *

Podobny charakter nosi ośrodek sportowo-wypoczynkowy kopalni „Szombierki". Aż wierzyć się nie chce, że jeszcze przed dwoma laty rozciągały się tutaj dymiące hałdy, które zatruwały powietrze w osiedlu „Chruszczów". Dziś jest tu basen kąpielowy, szatnie, brodzik dla dzieci, stadion sportowy, boisko, korty tenisowe, a nawet kawiarnia. Pomyślano także o zasadzeniu lasku. Lwią część prac wykonano w czynie społecznym. Już dziś w ośrodku może odpoczywać blisko trzydzieści tysięcy osób, a przecież zagospodarowano zaledwie część tego 40-hektarowego terenu. Nieco później zbuduje się tutaj również dom kultury i sale sportowe, uporządkuje się i zarybi drugi staw.

* ★ *

Jak to się dzieje, że górnicy i hutnicy umieli sobie zorganizować tak znakomity wypoczynek po codziennej pracy? No, cóż, Ślązacy są pracowici, energiczni, gospodarni, posiadają zmysł organizacyjny, myślą kategoriami współczesności. To jedno. A drugie: w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki funkcjonuje osobny departament spraw socjalnych, a w śląskich zjednoczeniach i przedsiębiorstwach działają wydziały socjalno-bytowe. Działa tu też specjalny aparat administracyjny do spraw pracowniczych, który ściśle współpracuje ze związkami zawodowymi i organizacjami społecznymi. Jak podkreślił dyrektor do spraw pracowniczych największego Bytomskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego — J. Michalski — racjonalny wypoczynek jest w centrum uwagi BZPW i uważa się go za jeden z najważniejszych warunków wydajnej pracy i dobrego samopoczucia pracowników. Dyrektor do spraw pracowniczych kopalni „Szombierki" — L. Bąk — który oprowadzał nas po ośrodku zbudowanym na owych słynnych hałdach, opowiada, i nie bez dumy, iż zaglądający tu często goście zagraniczni nie wierzą, że to wszystko wyrosło na dymiącym niegdyś żużlu. Nie wierzyła temu również delegacja ONZ, która przed kilkoma tygodniami bawiła na Śląsku i oglądała ten unikalny ośrodek wypoczynkowy. Gospodarze musieli więc wywiercić otwór w gruncie, żeby przekonać swych zagranicznych gości.

Na całkiem innym terenie powstał górniczy ośrodek wypoczynkowy w Świerklańcu. Tu już na terenie przepięknego parku, niegdyś prywatnej własności, wspólnym wysiłkiem załóg kilku kopalni zaplanowano i zbudowano, znakomicie zagospodarowany, ośrodek wypoczynku sobotniego i niedzielnego. W sezonie przewija się przez Świerklaniec około dwustu tysięcy osób. Gospodarze postanowili wybudować tu również międzynarodowy camping.

* ★ *

Podobnych ośrodków wypoczynkowych istnieje na Śląsku — tylko w samym resorcie górnictwa i energetyki — blisko osiemdziesiąt. Lokalizuje się je przede wszystkim w pobliżu zakładów pracy i osiedli mieszkaniowych, mając na uwadze głównie cele rekreacyjne, ale jednocześnie rozwija się własną bazę ośrodków wypoczynkowych, położonych nieco dalej od hut i kopalń. Niezależnie od tego, mając na uwadze trudności z wczasami w miesiącach letnich, rozbudowuje się campingi, działające na zasadach podobnych do FWP. Jednocześnie nie ustaje budowa wciąż nowych boisk sportowych, basenów z podgrzewaną wodą, kortów tenisowych, kręgielni, a w ośrodkach górskich — wyciągów narciarskich, torów saneczkowych i nartostrad. Ten wielokierunkowy rozwój ośrodków wypoczynku na Śląsku wystarczająco ilustrują dwie liczby: w 1960 roku z własnych ośrodków wczasowych skorzystało 52 tysiące osób, zaś do końca 1971 roku liczba ta przekroczy już 260 tysięcy. Ale obok tego, ponieważ istniejące ośrodki wypoczynkowe zaspokajają potrzeby Ślązaków zaledwie w 20 procentach, organizuje się mnóstwo przeróżnych wycieczek turystycznych, z których korzysta około 800 tysięcy osób w ciągu roku. Jest to ośmiokrotnie więcej, niż przed sześcioma laty.

Do szerokiego uprawiania turystyki zachęcają liczne na Śląsku wypożyczalnie sprzętu, zarówno przy kopalniach, jak i przy szkołach przyzakładowych. Młodzi i starzy, którzy latem wybierają się na obóz wędrowny, wycieczkę czy camping, albo zimą na wczasy narciarskie, nie mają większego kłopotu ze zdobyciem potrzebnego sprzętu turystycznego.

* ★ *

Aż chciałoby się to wszystko żywcem przenieść do Łodzi, na nasz teren. To prawda, że górnicy i hutnicy mają większe możliwości materialne, niż włókniarze, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie mieliby tego wszystkiego bez rzetelnej pracy. Wydaje mi się, że można by i na naszym łódzkim terenie zaadaptować ideę tworzenia międzyzakładowych i osiedlowych ośrodków wypoczynku niedzielnego. Takim ośrodkiem międzyzakładowym mógłby być, na przykład, Arturówek, administrowany przez ŁOTiW. Warto też pomyśleć czy i w łódzkich zakładach pracy nie można by powołać jakiegoś ciała, odpowiedzialnego za sprawy socjalno-bytowe, za organizację wypoczynku, rozwój sportu masowego w zakładach oraz turystyki. Łódź, jak wiadomo, ma za mało ośrodków wypoczynkowych. Zakładowe są tylko trzy: „Anilana", „Włókniarz" i „Olimpia". Przy pomocy zakładów pracy, związków zawodowych oraz wkładu pracy społecznej, można by i u nas rozwiązać nie jeden ważny problem organizacji wypoczynku dla włókniarzy.

Rozwiązanie konkursu

Ponad 500 rozwiązań nadesłali Czytelnicy na nasz Konkurs Wakacyjny. Z przyjemnością notujemy, że 99 proc. odpowiedzi zawierało prawidłowe rozwiązania.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

Bon towarowy wartości 1500 zł.

— Jolanta Zyne, zam. Rawa Mazowiecka, ul. Polna 35

Bon towarowy wartości 1000 zł.

— H. Lewandowska, zam. Łódź, al. Kościuszki 13 m. 16

Bon towarowy wartości 500 zł.

— Witold Jung, zam. Łódź, ul. Kasprzaka 4 m. 29

Wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych otrzymali:

Marian Biernacik, zam. Łódź, Inflancka 16, Wiesława Lubnar, zam. Zgierz, Narutowicza 1, Janina Gisko, zam. Zduńska Wola, Łaska 71 m. 54.

---

stycznej z pełną odpowiedzialnością materialno-finansową.

Jest to prawda również bynajmniej nie nowa. Wspominał o niej niejednokrotnie Aleksander Zelwerowicz, gdy jeszcze przed wojną toczyły się dyskusje w drastycznej wówczas sprawie tzw. „dotacji miejskich" oraz niezbyt wtedy różowo przedstawiającej się finansowej sytuacji naszych teatrów.

„Kasa w teatrze posiada czasem olbrzymie znaczenie nie tylko finansowe" — lapidarnie, a zwięźle ujmował wówczas tę kwestię Zelwerowicz. — „W wielu wypadkach reguluje ona i sprowadza na artystycznie i materialnie realne tory zamierzenia repertuarowe oraz sens rozmachu ich właściwej realizacji. Zmusza do racjonalnej „gospodarki artystycznej", a przede wszystkim podkreśla rolę i znaczenie widza we wszystkich zamierzeniach teatru. W niektórych wypadkach jest to może niezbyt dobrze, ale generalnie rzecz biorąc, „hamulec" tego rodzaju jest nam w teatrze czasem bardzo potrzebny, a nawet pożyteczny".

Jeszcze konkretniej i dosadniej mówił o tym już po wojnie i wyzwoleniu Karol Adwentowicz. Warto przy tym zaznaczyć, że właśnie wówczas sprawował funkcję dyrektora łódzkiego Teatru Powszechnego.

„Dobrodziejstwo wszechstronnego wsparcia finansowego, czyli po prostu dotacji, płynących ze skarbu państwa, jest dziś, oczywiste i nie podlega dyskusji — stwierdzał Adwentowicz, ale jednocześnie dodawał, co następuje: — Ułatwia to niezmiernie prowadzenie pracy w teatrze. Otwiera szersze perspektywy natury odkrywczo-artystycznej. I tego właśnie nieco się boję. Stwarza to bowiem nieraz pewne niebezpieczeństwo. Tym niebezpieczeństwem jest pojęcie osobliwego „dobrego wujaszka", który zapłaci za każdy eksperyment... Hojność takiego „wujaszka" w pewnych wypadkach może spowodować zanik tego, co my nazywamy odpowiedzialnością wobec konkretnych, twórczych i ideowych zadań teatru oraz, co najważniejsze, wobec widza. Oczywiście, że myślę mocno „na wyrost". Prowadzi to w konsekwencji do realizacji zadań pracy artystycznej w myśl niezbyt odpowiedniej w ramach teatru zasady: „muzom a sobie". Obawiam się, że taka zasada w pewnych konkretnych wypadkach może sprowadzić twórcze intencje na jałowe manowce. No, bo wszak „wujaszek płaci"... A przecież nie każdy teatr stać na to, aby odgrywał rolę „Reduty", o ile chodzi o eksperyment. Jest to zresztą wcale nie konieczne".

Przepraszam za tak długi cytat. Jest to jedna z wypowiedzi Karola Adwentowicza na temat bieżącej sytuacji w naszych teatrach. Rozmowa na ten temat odbyła się wówczas, gdy, jak już wspomniałem, Adwentowicz kierował Teatrem Powszechnym w Łodzi. Wydaje się, że jego słowa i dziś nie straciły pewnej aktualności.

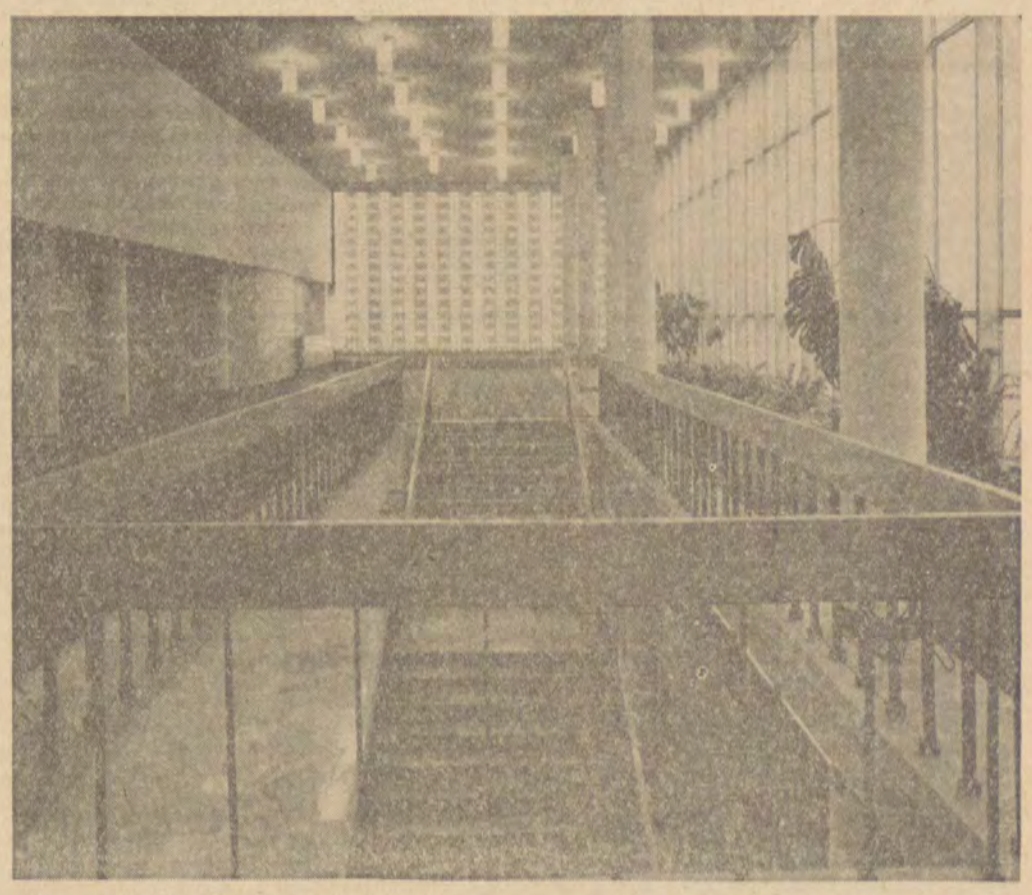

TEATR IM. STEFANA JARACZA. Wejście do hallu na pierwszym piętrze, w głębi „świetlna ściana" projektu A. Starczewskiego.

Fot. J. NEUGEBAUER

MICHAŁ STRZELECKI

Sport w szkole

„Czym skorupka za młodu nasiąknie..." — mówi ludowe przysłowie. Starsi starają się więc wpajać młodemu pokoleniu jak najlepsze wzorce postępowania, nauczania i wychowania w ogóle. Komórkami, które mają decydujący wpływ na kształtowanie postaw i sposobów myślenia dzieci są domy rodzicielskie oraz szkoły. Wyniesione z tych dwóch podstawowych ogniw nawyki utrwalają się zazwyczaj na stałe w psychice dziecka, determinują jego późniejsze postępowanie.

Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że bakcylem sportu „zaraziła" mnie szkoła podstawowa, wychowawca mojej klasy — polonista, a zarazem nauczyciel od wychowania fizycznego, rozbudził w nas umiłowanie sportu i turystyki. Zdecydowana większość moich kolegów z ławy szkolnej została czynnymi sportowcami, a obecnie, kiedy siwizna przyprószyła im włosy, stali się aktywnymi działaczami kultury fizycznej i turystyki.

Już starożytni Grecy głosili maksymę: „W zdrowym ciele, zdrowy duch", którą konsekwentnie wcielali w życie. Maksyma ta znana jest dobrze do dziś, często bywa powielana w prasie i na różnych naradach, ale nie wszyscy starają się ją przestrzegać. Nie doceniają tego zagadnienia rodzice, nie doceniają go też często kierownictwa samych szkół. I rośnie nam co roku procent dzieci szkolnych z krzywiznami kręgosłupa, płaskostopia, itp. itd.

Można stwierdzić bez przesady, że wychowanie fizyczne w polskich szkołach nadal nie jest traktowane jako określona strona wychowania, ale jako przedmiot zepchnięty na szary koniec. Świadczy o tym wymownie skromna ilość godzin przeznaczona na zajęcia wychowania fizycznego (od 50 lat nic się na tym odcinku nie zmieniło), jak i brak wysoko kwalifikowanych nauczycieli tego przedmiotu — szczególnie w szkołach podstawowych.

W tej chwili w trakcie przygotowania jest raport komitetu ekspertów o stanie oświaty w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W raporcie tym znajdzie niewątpliwie swe odbicie stan wychowania fizycznego w polskim szkolnictwie — od szkoły podstawowej do wyższej. W pierwszym rzędzie musi zostać rozwiązana sprawa bazy szkoleniowej — sal gimnastycznych i boisk przyszkolnych, ich wyposażenie, zwiększenie ilości godzin na zajęcia wychowania fizycznego oraz zatrudnienia dodatkowej kadry nauczycielskiej tego przedmiotu. Nie łudźmy się, że wszystkie te problemy da się rozwiązać w ciągu najbliższych dwóch — trzech lat. Zmiany, o których tu mowa pociągają za sobą dodatkowe nakłady finansowe, ulec też musi przeobrażeniu system organizacyjny sportu i wychowania fizycznego w szkołach.

Ale zastanówmy się czy na obecnym etapie niedorozwoju sportu i wf — przede wszystkim w szkołach podstawowych i średnich, nie można realizować bardziej prawidłowo tego przedmiotu nauczania? Wszystko zależy od inwencji nauczycieli wf i kierownictwa szkół. Przed kilkunastu laty szkolnictwo miało niechybnie gorsze warunki do prowadzenia wf, ale ówczesna „trójka tepedowska" promieniowała na całą Łódź pod względem rozwoju kultury fizycznej. Nie gorzej zresztą było z innymi przedmiotami nauczania. W umiejętny więc sposób dało się tutaj pogodzić wychowanie intelektualne z wychowaniem fizycznym.

Dziś mamy również kilka czy też kilkanaście wzorcowych szkół podstawowych i średnich, gdzie z dużym powodzeniem rozwija się kultura fizyczna. Znam osobiście sporą grupę dyrektorów i kierowników szkół, dla których wychowanie fizyczne ma nie mniejsze znaczenie niż nauka języka polskiego. I właśnie te szkoły należą do przodujących w naszym mieście, z ich murów wywodzą się reprezentanci Łodzi, a nawet i Polski.

Na II Centralnej Spartakiadzie Młodzieży, Łódź, jak i woj. łódzkie, należało do słabszych ogniw sportowych w kraju. A w imprezie tej uczestniczyła w zdecydowanej większości właśnie młodzież szkolna. Dostaliśmy znów tęgie lanie w lekkiej atletyce, ponieważ ta dziedzina sportu nie jest należycie spopularyzowana w naszych szkołach. W ubiegłym roku szkolnym podpisanych zostało uroczyście kilkanaście porozumień o współpracy między szkołami i klubami sportowymi. Założenia jakie przyświecają tej inicjatywie są słuszne i celowe. Cóż z tego, kiedy w praktycznym działaniu istnieje z jednej jak i z drugiej strony zbyt wiele odstępstw od tekstu zawartego w porozumieniach.

Sprawa boisk przyszkolnych. Na ten temat było wiele dyskusji, a boiska tego typu nadal są zamknięte na trzy spusty po godzinach lekcyjnych. Młodzież ukradkiem przez dziury w płotach, lub przez parkany — przedostawać się musi na boiska, chcąc pograć w piłkę nożną lub siatkówkę. Czas wielki udostępnić je dzieciom od rana do wieczora. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby nad sprawną organizacją tych sportowych zabaw czuwał wykwalifikowany nauczyciel wf. Młodzież garnie się do sportu, tylko trzeba jej zabezpieczyć niezbędne warunki, aby mogła prawidłowo kształtować swe zainteresowania i w tej, tak bardzo potrzebnej dziedzinie.

Pierwszym zwiastunem zmian w procesie zwiększonych potrzeb ruchowych młodzieży szkolnej jest podjęta przez Ministerstwo Oświaty decyzja o powszechnej likwidacji stosowania pantofli domowych w budynkach szkolnych. Teraz zimą, czy latem, jeżeli tylko dopisze pogoda, młodzież będzie mogła w czasie przerw lekcyjnych korzystać z boisk szkolnych. Spędzanie przez dzieci kilka godzin dziennie w zamkniętych murach, w zgiełku jaki panował na korytarzach w czasie przerw, powodowało liczne objawy nerwicowości, a pantofle sprzyjały powstawaniu płaskostopia.

Jedna bitwa została wygrana. Następna musi przynieść dalsze zwycięstwo w postaci zwiększenia godzin lekcyjnych na zajęcia z wychowania fizycznego. Chodzi tutaj o zdrowie naszych dzieci.

TP OBIEKTYW

PANDARUS CZYLI CELESTYNA W SPODNIACH

Literatura światowa nierzadko opiewa dzieje wielkich miłości. Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Abelard i Heloiza, Ferdynand i Luiza (z schillerowskiej „Intrygi i miłości"), to wybrane tylko przykładowo pary kochanków, których uczucie i namiętność podniesione zostały do rangi nieprzemijającej zasługi i wzoru.

Modelowi kochankowie w tak jednoznaczny sposób budzą sympatie i współczucie czytelników i widzów we wszystkich czasach i pod każdą szerokością geograficzną, że jednocześnie przyczyniają się do podniesienia na najwyższy piedestał samego uczucia miłości. Jest to z reguły miłość czysta, wierna, bez fałszów. Braterstwo dusz dominuje i odsuwa jakby na plan dalszy pociąg płciowy, choć i ten jest niewątpliwie sygnalizowany.

O wiele rzadsze są w literaturze przeszłości przykłady miłości mrocznej, skażonej grzechem, zbrukanej niewiernością, ale może przez to właśnie bliższej realizmowi życia. Pamiętamy jeszcze z małego ekranu „Celestynę" Fernanda de Rojas, okrutną balladę o stręczycielce. I tam, w tym dramacie z samego końca XV wieku, występuje para namiętnych kochanków: Kalikst i Melibea. Ich miłość jednak zostaje zbeszczeszczona i zniweczona, unurzana w błocie zamtuza.

Kalikst i Melibea przychodzą na myśl, gdy oglądamy teraz w ramach Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych sztukę Szekspira „Sławna historia o Troilusie i Kresydzie". (Telewizja Katowice, 13. IX. 71 r., przeniesienie z Państw. Teatru im. St. Wyspiańskiego, reż. Lidia Zamkow, reż. TV — Tadeusz Ringwelski).

Wzajemny pociąg i namiętność królewicza trojańskiego Troilusa, syna Priama, i córki zdradzieckiego kapłana Kalchasa — Kresydy, mogłaby łatwo przemienić się w dramat na miarę tego, który rozdzielił Romea i Julię. Trojańczycy decydują się wymienić Kresydę na innego syna priamowego — Antenora, który dostał się do niewoli greckiej. Kochankowie przeżywają dramat rozstania.

Ale ciąg dalszy dziejów Troilusa i Kresydy jest inny. Nie darmo do zbliżenia ich doprowadził stryj Kresydy, Pandarus, ta Celestyna w spodniach, rajfur obleśny, który samym dotknięciem rąk i odorem swego oddechu zamienił młodzieńcze uczucie w rozpustną lubieżność i rozpasanie. Kresyda, choć zaklinana przez Troilusa, nie dochowuje mu wierności. W obozie Greków poczyna sobie jak dziewka. Jej imię nie znajdzie się w rzędzie nieszczęśliwych i szlachetnych kochanek. Troilus szukać będzie śmierci w boju, przeklinając jej imię.

Przeniesienie „Troilusa i Kresydy" na ekran telewizyjny było posunięciem nieco ryzykownym. (Podobnie zresztą jak wystawienie swego czasu „Celestyny"!) Świetna scena stręczenia Kresydy Troilusowi (i Troilusa Kresydzie) przez Pandara, pełna nieskromnych i lubieżnych dotknięć, przybliżona do widza przez kamery nabierała chwilami cech tak ordynarnych, że realizatorowi widowiska pozostawało tylko przecinać obraz w połowie nieprzyzwoitego gestu.

Jestem pewien, że w teatrze, gdzie dzieli widza od sceny ów filtr powietrzny, odległość łagodząca drastyczność sytuacji, wspomniane dwustronne zaloty Pandara nie były tak rażące. Nie widziałem katowickiego przedstawienia w teatrze, mniemam jednak, że przeniesienie telewizyjne zniwelowało zalety tego spektaklu. Lidia Zamkow, mistrz w budowaniu scenicznych sytuacji, stanęła tu bezradna wobec telewizyjnej siekaniny, jakiej uległo przygotowane przez nią przedstawienie.

Weźmy dla przykładu scenę zdrady Kresydy podglądanej przez szalejącego z zazdrości i rozpaczy Troilusa. Domyślam się, ale tylko domyślam! że w teatrze scena ta wypadła wspaniale. Zamkow rozegrała ją symetrycznie: po jednej stronie Kresyda wijąca się w namiętności w ramionach Diomedesa, po drugiej Troilus miotający się i przytrzymywany przez Ulissesa. Telewizyjne cięcia raz na jedną parę, raz na drugą zniweczyły cały efekt tej sceny.

A jednak przeniesienie przedstawienia teatralnego na ekran telewizyjny uznać należy w najlepszym razie za zło konieczne! Telewizja ma swoje prawa, odmienne niż teatr.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Sophia Loren, Gregory Peck i reżyser Stanley Donen zapewnią ci dwie godziny znakomitej rozrywki, zdaje się mówić czołówka filmu „ARABESKA". Ufni w siłę nazwisk zjawiających się na ekranie, oszałamiająco barwnej ornamentyce ruchomych obrazów, lokujemy się wygodnie w fotelu, ciesząc się z góry na czekające nas atrakcje. Gdy po dwu godzinach z naszego fotela wstaniemy, obiektywnie stwierdzimy, że w istocie atrakcji było moc, czemu więc właściwie koniec filmu przyjęliśmy z lekką ulgą.

Stanley Donen, jeden z amerykańskich mistrzów musicalu („Deszczowa piosenka") i komedii („Dwoje na drodze") tym razem zrealizował komedię będącą parodią filmu szpiegowskiego. Jest to rzecz, jak wiadomo, niezwykle modna, każdy mniej „poważny" gatunek filmowy posiada swe rozliczne pastisze lub parodie. Lubi to publiczność, lubią to twórcy, którzy mają przy tej okazji nie byle jaką sposobność zademonstrowania swych umiejętności. Niełatwą bowiem sprawą jest zrobić dobra parodię, przekonał się o tym chyba nawet sam Stanley Donen. Z pozoru wszystko jest jak należy. Film zrealizował świetny fachowiec, a pomagali mu inni świetni fachowcy. Publiczność otrzymała zatem opowieść, w której znakomicie spleciono wszystkie niemal typowe dla filmu szpiegowskiego perypetie i pomysły fabularne, a także postacie obowiązkowo w nim występujące. Jak przystało na dobrą parodię nieprawdopodobną bzdurę opowiedziano z pełną powagą wobec prawdopodobieństwa zdarzeń i pięknym, stylistycznym, komediowym wobec nich dystansem. Ów dystans tkwi zarówno w dialogach jak i rysunku postaci, co szczególnie dobrze eksponuje niezawodny Gregory Peck. Odnosi się wrażenie, że nawet Sophia Loren przynajmniej raz w życiu, na użytek filmu, z brakiem należytego dla rzeczy szacunku obnosi kreacje uszyte u samego Diora. Znakomite zdjęcia Chistophera Challisa służą tej samej sprawie stworzenia komediowego dystansu wobec niezwykłych przygód bohaterów. A jednak czegoś zabrakło, by móc mówić o pełnym sukcesie „Arabeski". Nawet w parodii tego typu filmów należy nam się kilka chwil autentycznego suspense'u, wtedy łatwiej byłoby nam przetrwać rozliczne gonitwy i ucieczki uroczej pary. W przeciwnym bowiem razie trwają one stanowczo za długo i nawet Loren i Peck nie są w stanie nam tego zrównoważyć. Tak więc wyjaśniliśmy sobie chyba, czemu właściwie z lekką ulgą pożegnaliśmy fotel, w którym dane nam było oglądać elegancki i błyskotliwy skądinąd film Donena.

Znacznie natomiast trudniej będzie nam rozwikłać zagadkę francuskiego filmu „NARZECZONA PIRATA" w reżyserii pani Nelly Kaplan. Oglądając ten film zadajemy sobie pytanie czym kierowała się szacowna Rada Repertuarowa zakupując ten film na nasze ekrany. Pierwszą zagadkę rozwikłaliśmy, gdy udało nam się przeczytać w niezawodnym Filmowym Serwisie Prasowym, iż film ten spotkał się z niezwykle pozytywnymi ocenami poniektórych, cenionych w zachodniej prasie krytyków. W tym jednak momencie ręce nam opadły i jeszcze bardziej zrozumieliśmy rozterki pana Zygmunta Kałużyńskiego, biadającego od dłuższego czasu nad brakiem podstawowych kryteriów ocen w rozważaniach nad dziełem filmowym.

Dla krytyków zachodnich „Narzeczona pirata" to film, który „mocno akcentuje w sposób prowokujący i zdrowy wartości", które nam są drogie i niezbędne — jak bunt, wolność, życie". „Nelly Kaplan mówi nam więcej o wolności i rewolucji, niż wszystkie deklaracje „underground". „Farsa wkracza nagle na drogę gorzkiej poezji, która ma wiele uroku" itd. itp. Aż żal, że nie można P. T. Czytelników obdarować większą porcją tej znakomitej literatury, by móc ją skonfrontować z opiniami polskich odbiorców tego filmu. Jeśli się mylę w ocenie tego filmu, winnam umyć ręce od wszelkich prób filmowej pisaniny. Historia Marii — nieco debilnej, lecz biologicznie zdrowej, przepraszam, kurewki z francuskiej wioski można by może traktować (cytuję dalej) jako „atak pani Kaplan w moralne przesądy, przeciętność, tchórzostwo, konformizm i hipokryzję", gdyby nie absolutna obrzydliwość tego filmu, która wcale nie wynika wyłącznie z obrzydliwości świata, który pani reżyser pokazuje, lecz ze sposobu, w jaki to robi. Do jakich postaw i gustów odbiorców pani Kaplan apeluje, wydaje się oczywistością, którą trudno jednakże nazwać nową, światłą moralnością, pozbawioną konformizmu i hipokryzji.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MYSZ URODZIŁA GÓRĘ

Tym razem to nie góra urodziła mysz, ale „mysz zapiszczała i urodziła górę" — stwierdza reporter hamburskiego tygodnika „Der Spiegel". W czterdzieści trzy lata po swych narodzinach myszka Mickey, powołana do życia przez Walta Disneya, wciąż święci triumfy na ekranach całego świata.

Na wiele lat przed śmiercią Walt Disney postanowił stworzyć pod słońcem Florydy królestwo rozrywki dziewięćdziesiąt razy

większe niż założony przez niego lunapark dla dzieci zwany Disneylandem. Spadkobiercy realizując marzenie Disneya budując niewiarygodnie olbrzymi park cudowności, u którego wrót witać będzie odwiedzających myszka Mickey.

Park ten położony jest nieco na zachód od przyjątka Kennedy'ego w samym środku bagnistego dawniej terenu Florydy. Koszty zbudowania i urządzenia owego parku, Disney World, wyniosą około 300 milionów dolarów. Prowadzi się roboty ziemne, podczas których przerzucone być musi 8 milionów metrów sześciennych gruntu. Na sztucznie zbudowanych pagórkach i w dolinach powstać ma miasto, zatoka, trzy place golfowe, dwie koleje żelazne, park — rezerwat przyrody, cała masa hoteli.

Pierwszy odcinek robót zostanie zakończony w dniu 1 października br. Odtąd to Mickey-Mouse będzie przyjmowała gości w swym bajecznym królestwie. Będzie już tu zamek Kopciuszka, gdzie można będzie zjeść przy dźwiękach niedźwiedziej orkiestry, potem obejrzeć w parku fantastyczne i egzotyczne zwierzęta, morskie potwory, pójść do zoo ze sztucznymi, olbrzymimi królikami świnkami morskimi i słoniami.

W muzycznej rewii „Mickey-Mouse Musical Revue" wystąpią wszystkie ważniejsze postacie disneyowskiego świata: Piotruś Pan, Alicja z krainy czarów, Królewna Śnieżka i siedem krasnoludków.

Zwiedzający będą mogli się wspinać na drzewa, albo pływać w łodzi podwodnej, grać w golfa, uprawiać narciarstwo wodne. Mogą odwiedzać egzotyczne czy bajkowe postacie, a nawet udać się w iluzyjną podróż kosmiczną.

W następnym etapie prac nad rozbudową Disney World, prowadzonych w ciągu następnego dziesięciolecia, powstaną dalsze dzielnice rozrywkowe, fantastyczne budowle znane z baśni i opowieści, albo rekonstrukcje zabytków czy budowli historycznych. I tak np. w Disney World powstanie m. in. dokładna kopia placu św. Marka w Wenecji albo meczet z „Tysiąca i jednej nocy". Obok tego będą tu najnowsze urządzenia jak przystań dla jachtów lub stała wystawa przemysłowa obrazująca najnowsze osiągnięcia techniki. Przede wszystkim zaś — to jest chyba najbardziej interesujące — powstać ma miasto przyszłości z 20 tysiącami mieszkańców. Osiedle to zwane „Epcot" (Experimental Prototype Community of Tomorrow, Eksperymentalny prototyp miasta jutra) będzie obsługiwane przez komunikację, której pojazdy będą bezspalinowe. Poruszały się one będą na jezdniach o różnych poziomach, także pod ziemią.

Postacie z disneyowskiego świata: Pluto i Goofy na tle ratusza w Disney World

„Tak więc ludzie Disneya urządzają ich specyficzny świat, który łączy przeszłość z przyszłością — tylko amerykański dzień współczesny został przez nich świadomie pominięty" — zauważa reporter tygodnika „Der Spiegel".

Jakie zyski spodziewane są z Disney World? Otóż przewiduje się, że w dniach największej frekwencji przez park przewinie się 45 tysięcy turystów dziennie, z których każdy opłaci wejście w wysokości 7,25 dolara. W pierwszym roku ma być około dziesięć milionów zwiedzających, a w ciągu następnych lat dziesięciu, połowa ludności Stanów Zjednoczonych ma zwiedzić Disney World. Czysty zysk w pierwszym roku wynieść ma 100 milionów dolarów.

NIEZNANE LISTY BERNANOSA

W Paryżu ukazał się ostatnio tom zawierający niepublikowane dotąd listy wybitnego francuskiego pisarza katolickiego Georgesa Bernanosa (1888—1948). Książka liczy 572 stronice i zawiera niemal wszystkie listy pisarza od czasów jego szkolnej młodości, aż do pobytu na Majorce, kierowane do kilku przyjaciół, spowiednika oraz żony.

Listy te odsłaniają tajemnice źródeł pisarstwa Bernanosa — walkę z obsesją śmierci i potępieniem wiecznym. Pisarstwo swe traktował Bernanos świadomie jako terapię przeciw nawiedzającym go ustawicznie wizjom śmierci.

„Byłem chorowitym chłopcem — zwierzał się siedemnastoletni Bernanos w liście do swego spowiednika — i ciągle napominano mnie, abym na siebie uważał. Od tego czasu boję się umierania i ku memu nieszczęściu — mój anioł stróż powiedziałby: ku memu szczęściu — ustawicznie o tym myślę". By zagłuszyć wieczny strach przed śmiercią Bernanos rzuca się w wir działalności politycznej. Nie była to chlubna działalność. Staje się przywódcą grupy rojalistycznej w „Action française", organizacji, na której czele stał Charles Maurras, antysemita i późniejszy kolaborant z okupantem. Ale polityka nie uwalnia Bernanosa od obsesji śmierci. Wystarczy większy atak kaszlu, by dręczyły przyszłego autora „Pod słońcem szatana" wizje umierania na gruźlicę.

Kiedy wybucha wojna, ten człowiek dręczony obsesją bliskiego zgonu, wstępuje jako ochotnik do wojska, by rzeczywistym niebezpieczeństwem zagłuszyć w sobie strach przed śmiercią. Życie w okopach uwalnia go przede wszystkim od przewrażliwienia na tle religijnym. „Aby całować twe wspaniałe ramiona nie będę czekał na decyzję soboru" — pisze z frontu do swej narzeczonej Jeanne Talbert.

W latach dwudziestych pisarz osiąga uznanie i rozgłos. Tematem jego książek jest walka dobra ze złem, zapasy Boga z szatanem o ludzkie dusze, a równocześnie jego pisarstwo cechuje głęboki liryzm, religijna pasja. Pisarz, który założył rodzinę i ma kilkoro dzieci pracuje teraz ponad siły. Dziesięć godzin dziennie spędza przy pracy wypalając masę papierosów, wypijając mnóstwo kawy. Rujnuje sobie zdrowie, cierpi na ataki angina pectoris i ponadto, tym razem naprawdę, wpada w gruźlicę. Rodzinę nękają choroby. Żona Jeanette zaraża się gruźlicą, córka Niquette bawiąc się, nieostrożnie rozlewa na siebie benzynę, która się zapala, rodzice Bernanosa po latach cierpień umierają na raka, on zaś po dwukrotnym wypadku podczas jazdy motocyklem poruszać się może tylko o lasce. Znów z całą mocą prześladują pisarza obsesje śmierci. Pisze, że „odór śmierci czuje we własnym domu". Odkłada powieść, którą pisze pt. „Monsieur Ouine", by wrócić do niej dopiero po ośmiu latach.

Na jesieni 1934 roku pisarz ucieka od wizji śmierci prześladującej go w domu, na Majorkę. Tu w ciągu trzech lat pisze. Tu powstaje najznakomitsze jego dzieło, za które otrzymuje Wielką Nagrodę Akademii Francuskiej „Pamiętnik wiejskiego proboszcza" (powieść zostaje sfilmowana w roku 1950). Tu na Majorce pisarz przeżywa zmianę swych poglądów. Gdy trwa wojna w Hiszpanii, Bernanos w ostrych słowach potępia okrucieństwa dokonywane przez faszystów, walczy teraz piórem o wolność człowieka, a w jego wypowiedziach nie znajdujemy już ani śladów dawnego nacjonalizmu. Jego głos jest głosem chrześcijanina wołającego o wolność.

Interesujący zbiór listów Bernanosa ukazał się dzięki temu, że wdowa po pisarzu w 23 lata po śmierci męża zgodziła się na tę publikację. Wydana ona została pt. „Correspondance inédite: Combat pour la vérité" (Niepublikowana korespondencja: Walka o prawdę").

Bez strachu

PODRÓŻE

Lęk przed podróżą lubo powszechny, jest utajony — czy w przeciwnym razie tak wielu upychałoby walizy. Tak po stokroć tak — gdyby ci ludzie wiedzieli, że się boją, koniec z podróżami. Dwa są bowiem rodzaje drżeń: świadome i bezwiedne. Ot, ktoś szczęka zębami i boi się, albo szczęka zębami i nie wie, że się boi, myśli sobie: „Brrr — jak mi zimno, brrr. aby tylko gdzie nie ubili mnie w tej dalekiej drodze, w którą jadę, brrr..." Ktoś zatem szczęka zębami i mówi, że się boi, a ktoś szczęka zębami i mówi, że mu zimno.

Co do mnie lękam się nie tylko podróży, ale nawet podróżników. Zatrzasnąłem drzwi przed wieloma ludźmi, których mi rekomendowano: „Odniesiesz wiele godziwych korzyści z kontaktu z tym człowiekiem, ten widział kawał świata, ten podróżował, a podróżował". Kiedyś wpadłem w ręce aż dwóch takich, którzy ustawicznie podróżowali. Czy mówili o niezmierzonych, skrzących się rozmaitością ludzką połaciach ziemi, nie, mówili ustawicznie o pewnych drzwiach. Otóż drzwi te, jak należało się sensownie spodziewać, miały klamkę. Otóż każdy z tych ludzi widział tę klamkę (zamykać i otwierać nie było wolno; klamka służyła wyłącznie do oglądania). Poniżej klamki był jeden okazały gwóźdź, powyżej drugi — równie godny. To było wszystko, o czym mówili ci dwaj wieloraccy i wieloletni podróżni. Przestraszyłem ich się i uciekłem od stołu, pozostawiając na pastwę podróżnych moje jadło. Nie zdziwili się wcale — może sądzili, że pobiegłem, aby bez zwłoki sposobić się do podróży do klamki, do obu gwoździ. Gdzie mi do bogactwa wrażeń i wiedzy tych ludzi. Niekiedy podróżuję nocami, przed tygodniem śniła mi się Australia. Australia tego snu to mieszkanie, podobne do mojego, tylko o połowę mniejsze. W tej Australii rosną bardzo wysokie drzewa, o gęstym sklepieniu. Jest tam młodzież podobna do naszej, długowłosa. Idę w Australii do fryzjera — fryzjer strzyże mnie. Przypominam sobie, że mam tylko złotówki, ale fryzjer bierze je „byle więcej, byle więcej". Fryzjer nazywa się Pan Perełka i tutaj kończy się bariera strachu. Strach jest stałą podróży mojej jawy i zmienną podróży moich snów.

BERNARD SZTAJNERT

POLONICA

POLSKIE SZTUKI W AUSTRII

W Biuletynie Informacyjnym Austriackiego Urzędu Prasowego (Bundespressedienst) — „AUSTRIA" 1971/2 — podano zapowiedzi repertuarowe teatrów wiedeńskich na sezon bieżący. I tak Burgtheater zamierza wystawić, zapowiadaną nb. od kilku lat, „Nieboską komedię" Z. Krasińskiego w reż. K. Swinarskiego. Polski reżyser figuruje na liście reżyserów współpracujących w tym sezonie z czołową sceną Wiednia. Natomiast opera w Grazu anonsuje wystawienie „Diabłów w Loudoun" K. Pendereckiego. Podano zespół realizatorów.

(sk)

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

O METODZIE I SIEKIERCE

AKSAMITNA PUBLICYSTYKA — NOWA FALA — CASUS DERECKI — KOMAR W WADZE CIĘŻKIEJ — SPRZECIW HAMILTONA — „WEŹ PAN SIEKIERKĘ" — LEPSZE OSTRE PIÓRO!

Był czas, kiedyśmy zgodnym chórem narzekali na aksamitność naszej publicystyki kulturalnej, na jej arystokratyczno-ludowe maniery, na jej takt, posunięty do takich granic, że niemożliwa stawała się jakakolwiek krytyka... Przypominaliśmy wówczas zabójcze sztychy polemiczne Boya, przypominaliśmy niegdysiejsze recenzje teatralne Słonimskiego. A było co przypominać! Toż to Słonimski pisywał w recenzji, że sztuką przypomina stary nocnik, wyrzucony na śmietnik, toż to Słonimski wymyślał teatralnym tuzom lat trzydziestych od pospolitych kryminalistów i morderców, którzy dożynają sztukę. Oczywiście bywały i drzewiej sądowe procesy o zniesławienie, ale też publicystyka kulturalna szczyciła się ostrym piórem, zabójczą ironią, kpiną, celną ripostą i bezkompromisowością sądów.

Aż przyszedł czas, kiedy współczesne nam pisma społeczno-kulturalne obrodziły w spory, przyszedł czas dyskusji i kontrowersji ostrych i złośliwych.

Obserwuję tę nową falę i ogarnia mnie zaduma i lekkie zaniepokojenie. Lata grzeczniutkiej publicystyki wytraciły nas jakoś z rytmu i zamiast szpilką — posługiwać się zaczynamy siekierką. Zamiast wykpić — obrażamy, zamiast ironizować — insynuujemy.

Metody polemiczne zyskały na ostrości — straciły na elegancji.

Przykład pierwszy z brzegu. Oto ukazała się przed paroma miesiącami interesująca książka Mirosława Dereckiego o „Hubalu". Publikacja na pewno kontrowersyjna i wiele jej można zarzucić prócz jednego. Jest to mianowicie uczciwa i rzetelna próba nowego spojrzenia na pierwszego polskiego partyzanta — owianego legendą bohatera Wańkowiczowskiego eposu.

Może ta książka budzić sprzeciw? Może. Ale oto, jak wyglądają metody polemiczne. Kieleckie „Przemiany" dyskutują z tą książką w ten mniej więcej sposób. „Autor nie miał pieniędzy na wódkę, więc postanowił coś chwytliwego napisać. Wziął zaliczkę z wydawnictwa i przepił, więc napisał książkę..."

Moi drodzy! W ten odkrywczy sposób można załatwić co najmniej połowę literatury. Jeśli więc ostrość sądów i polemiczny ton naszej publicystyki ma wyglądać tak właśnie, jak to prezentuje kielecki miesięcznik — pocośmy narzekali na układność polemiczną lat minionych. Lepiej już zostańmy przy starym, jeśli nowe ma postać zwyczajnego chamstwa.

Podobny los spotkał inną cenną książkę — unikalną w naszej literaturze współczesnej publikację Bohdana Drozdowskiego „Albion od środka". W „Szpilkach" wystąpił przeciwko tej świetnej książce pan Komar, który z lekkością boksera wagi ciężkiej naubliżał autorowi, ile wlezie.

Cieszy mnie niezmiernie, że nawet Hamilton z „Kultury" — jak wiadomo sam piszący ostro i złośliwie — ogłosił sprzeciw wobec praktyk publicystycznych pana Komara. Pisze Hamilton: „Jestem przeciw ochronie Komara, który w „Szpilkach" zamieścił opinię o „Albionie", piankową jak tona węgla. Komar nazywa Drozdowskiego mizernym stylistą i obserwatorem, pisze o nizinach jego stylistyki i wyobraźni. Gdy Głowacki pisał o „Albionie", to go spłaszczył, bo zacytował zdania najgorsze, pomijając najlepsze, ale wykupił się ironią, tym, że jego tekst był zabawny. U Komara tego wykupu nie ma. Komar zionie zawiścią. Jestem za opiniami skrajnymi, wypowiadanymi w sposób skrajny, przeciw — zagryzaniu, zaszczuwaniu, nagonce..."

Otóż to! Spory są potrzebne i spory są oczywistością w zdrowej, normalnej sytuacji literackiej. Ale sprzeciwu wobec dzieła nie może zastąpić połajanka, obraza, insynuacja, czy pospolita brednia i fałsz. Komar napisał na przykład, że „Albion od środka" jest... książką antypolską! Jest to taka prawda, jak to, że Komar jest chiński ochotnik. A poza tym jest to brak szacunku dla czytelnika, który książkę Drozdowskiego przeczyta i zobaczy, że to istotnie publikacja anty, lecz w zupełnie przeciwnym kierunku.

Niepokoi mnie ten nowy ton, nowa fala. Zapomnieliśmy posługiwać się elegancko kpiną i ironią — dziś w polemice jakże często używamy kłonicy i sztachety z płotu. Publicysta, który na gwałt chce być ostry i bezkompromisowy, zaczyna walić na oślep, kiedy brakuje mu lekkości pióra i dojrzałej ironii.

Jest taka zabawna piosenka Młynarskiego z refrenem brzmiącym mniej więcej tak — „więc weź pan siekierkę, no, weź pan siekierkę i daj mi pan w łeb — i spokój". Niektórzy publicyści wzięli sobie do serca te słowa — wzięli więc także siekierki i ruszyli na łamy.

A przecież naprawdę „to nie to — to nie o to nam chodziło", że znów przypomnę słowa piosenki. Siekierką wyciosać można publicystykę bardzo toporną, ostrą, ale mocno ciężkawą. Pisarstwo jest zresztą materią zbyt delikatną, aby można w nim operować tym nieporęcznym narzędziem. Z ostrych przedmiotów w pisarstwie najbardziej przydatne jest ostre pióro. Siekierka go nie zastąpi.

JERZY WIDOK

MICHAEL ZUROY

SZUBIENICA W SALONIE

Struktura była prosta: dwa ramiona złączone haczykami i dyndająca pętla — bez wątpienia był to rodzaj szubienicy. Wisiała pośrodku salonu. Człowiek, który ją zmontował, przyglądał się swemu dziełu z zadowoleniem.

Pokój był jasno oświetlony, mieszkańcy sąsiednich domów mogli dokładnie widzieć szubienicę i samotnego mężczyznę, który siedział w fotelu pogrążony w lekturze. Najlepszą widoczność miał dom naprzeciwko.

Mieszkająca w nim kobieta początkowo nie zauważyła niczego. Zajęta była przygotowywaniem obiadu i dwuletnią dziewczynką. Dopiero jej mąż, wracając z pracy, zatrzymał się na ulicy wraz z kilkoma osobami, które oglądały widowisko w oknie. Wbiegł do domu i pociągnął żonę do okna, odsuwając z lekka okiennicę. — To on, zobacz, Hilda! — krzyknął.

Kobieta przeraziła się. Miała około trzydziestu lat, ładne rysy, zgrabną figurę. Jej mąż, wysoki i masywny, był typem męskiej urody. — Tak — szepnęła. — To jest George. Szukał nas przez trzy lata. A ja myślałam, że się od niego uwolniliśmy. I teraz grozi nam, ten złośliwy wariat. Może chce się powiesić na naszych oczach, żebyśmy go nigdy nie zapomnieli?

— Ja nie będę się przejmował, niech robi co chce — rzekł Tom.

— Kupił ten dom, pani Healy mówiła, że ktoś ofiarował jej wysoką sumę za pośrednictwem agencji. Jeżeli zadał sobie tyle trudu to dowód, że przygotowuje coś strasznego. Boję się! Nie możemy nawet odwołać się do policji, gdyż mógłby im opowiedzieć... o mnie.

Tom odwrócił głowę ku oknu i rzekł powoli: — A jeżeli to jednak zrobi?

Nagle zadzwonił telefon. Mówiła Berta, sąsiadka. — Moi drodzy, widzieliście tego wariata, który siedzi w pokoju oświetlonym jak w cyrku? Podobno żyje sam, nie ma rodziny. Uważam, że należy zawiadomić policję...

* * *

Sierżant Pfister nie wiedział, co począć z delegacją obywateli przybyłych z Maple Avenue. — Zbadaliśmy już tę sprawę — rzekł. — Policjanci rozmawiali z tym człowiekiem. Bez wątpienia jest to ekscentryk, lecz nie robi wrażenia osoby, która planuje samobójstwo...

— Sierżancie — przerwała Berta — kto może wiedzieć, co on planuje? Czyż normalny człowiek urządzałby co wieczór pokaz szubienicy w salonie? Przed jego oknami gromadzą się tłumy, cała dzielnica żyje oczekiwaniem, że stanie się coś strasznego. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, lecz odmówił wyjaśnień. Nie chce także spuszczać żaluzji.

— Niestety, policja nie ma prawa decydować o umeblowaniu mieszkania, ani żądać zasłaniania okien, jeżeli nie stwierdzi naruszenia moralności.

— Jeżeli pan nic nie zrobi — napierała Berta — udamy się z tym do prasy, do sądu. Zrobiliśmy się nerwowi. Moja sąsiadka, Hilda Doanes wygląda jakby nie spała od dwóch tygodni, to znaczy od momentu, gdy ten tam zamieszkał.

— Ach tak? — zdziwił się Pfister — więc dlaczego nie przyszła ze skargą? Dobrze, zajmę się tym człowiekiem osobiście dziś jeszcze...

* * *

— Tak dalej być nie może — myślała Hilda. — Oszaleję. — Mimo lęku te okna przyciągały ją chorobliwie. W ciągu dnia widziała Georgea gdy poruszał się z jednego pokoju do drugiego, a wieczorem, gdy siedział w fotelu przed szubienicą. Co kryło w sobie to makabryczne widowisko? Chyba George nie oczekiwał, że przyjdą do jego domu i powieszą się. Może chodziło tylko o symbol zemsty, o doprowadzenie ich do szaleństwa? Postanowiła zmierzyć się z nim bezpośrednio. Spotkawszy go na ulicy próbowała z nim rozmawiać, lecz nie zatrzymał się, szedł dalej jakby jej nie widział.

Pewnego razu zadzwoniła do jego drzwi. Otworzył je i zimno zapytał, czego sobie życzy. Cichym głosem prosiła, żeby powiedział, czego chce od nich. — Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia, proszę pani. — To powiedziawszy zamknął drzwi...

Musiała hamować Toma. Czasami był tak wściekły, że chciał pobić Georgea. Błagała, żeby tego nie czynił, mógł popaść w kolizję z prawem. Myśleli nawet, żeby sprzedać dom i wyjechać, lecz Tom nie czuł się na siłach zaczynać życie od nowa. I czy mogli uciec przed tamtym?

Wyraz twarzy Hildy złagodniał, gdy spojrzała na małą Roannę. Wyglądała rozkosznie w różowej piżamce. Dziecko jej i Toma... Wyjrzała znów oknem. Na przeciwko zatrzymało się auto policyjne. Wysiadł z niego sierżant i skierował się do domu Georgea. Może go stąd zabiorą?...

Pfister zadzwonił i czekał. Za chwilę drzwi się otworzyły. — Czy pan George Raber? — zapytał sierżant.

— O, znów policja. — Mężczyzna nie wyglądał na zdziwionego. — Proszę wejść, proszę.

Z przedpokoju weszli do salonu i sierżant zobaczył rusztowanie. Rzekł bez ogródek: — Musi pan to zaraz zdjąć.

— Dlaczego? — Pytanie było zadane spokojnym tonem, sierżanta ogarnęła wściekłość.

— Wie pan dobrze, iż ta szubienica przeszkadza każdemu, kto ją zobaczy — przerwał szorstko.

Mężczyzna wytrzymał spojrzenie sierżanta. — Szubienica? Teraz, gdy pan to powiedział muszę przyznać, że to można pomylić z szubienicą.

— Pomylić? A cóż to może być innego?

— O, mnóstwo różnych rzeczy. Na przykład wieszak do ręcznika, lub rusztowanie dla papugi, którą mogę sobie kupić.

— Czy pan kpi ze mnie? — Ton głosu Pfistera stał się groźny, lecz Raber podniósł rękę jakby dla uspokojenia swego rozmówcy i rzekł prawie szeptem: — Sierżancie, czy pan wie, co ja widzę, gdy patrzę na pana?

— Cóż takiego pan widzi? — powtórzył zdezorientowany Pfister.

— Właśnie. Widzę trybunał, sędziów przysięgłych, prokuratorów. Rozmawiam nie ze zwykłym człowiekiem, lecz z przedstawicielem prawa, który zapisuje każde moje słowo. A więc chcę wiedzieć, czy łamię prawo trzymając w moim salonie to urządzenie dla papugi? A jeżeli to przeszkadza sąsiadom, mogę im doradzić, żeby pilnowali swoich interesów.

— Dlaczego pan nie spuszcza żaluzji?

Raber uśmiechnął się. — Ponieważ wolę tak. A gdyby mi przyszło do głowy usunąć je zupełnie, miałbym do tego prawo, czyż nie jest tak?

Sierżant czuł, że walki nie wygra, pragnął odsunąć się jak najdalej od tej sprawy. Wybuchnął gniewem: — Proszę nie szukać wybiegów, dialektycznych finezji... Wiem, i wszyscy wokoło wiedzą, że wystawił to pan w celu dokuczania bliźniemu. Dlaczego pan to czyni?

Raber usiadł powoli w fotelu. — Mam żonę, która ze mną nie mieszka. Kochałem moją żonę. Jest piękna... Była kobietą z ulicy, gdy ją poznałem. Postanowiliśmy pogrzebać przeszłość. Zgodziła się poślubić mnie chyba dlatego, żeby czuć się bezpieczną w życiu. Łudziłem się, że z czasem mnie pokocha...

Westchnął głęboko i mówił dalej. — Niedługo jej obojętność przerodziła się w pogardę, a nawet odrazę. Zaczęła znów spotykać się z innymi mężczyznami... Co miałem robić, sierżancie, zabić ją? Wypędzić z domu? Może i tak, lecz nie uczyniłem tego.

Pfister kręcił się nerwowo w fotelu. Nie lubił wysłuchiwać intymnych zwierzeń, szczególnie mężczyzn.

— Nadszedł dzień — ciągnął dalej Raber — gdy zakochała się w jednym ze swych mężczyzn. Także i on w niej. Postanowił ją poślubić, jeżeli zgodzę się na rozwód. Błagałem, żeby nie odchodziła... Odmówiłem rozwodu, jest więc prawnie dalej moją żoną...

Pewnego dnia ów mężczyzna wtargnął do mego domu i zabrał ją siłą grożąc, że mnie zabije, jeżeli zechcę mu przeszkodzić. Ten brutal zniszczył moje życie! Teraz mieszkają na tej samej ulicy, w domu na przeciwko mojego.

Ostatnie słowa powiedział tak cicho, że Pfister z trudem pojął ich znaczenie. Przypomniał sobie uwagi Berty na temat Hildy... Nareszcie iskierka czegoś logicznego w tej sprawie!

— A więc przybył pan tutaj, żeby wyładować swój żal — rzekł surowym tonem. — I dlatego jest zmontowane to widowisko.

— Czy powiedziałem coś takiego, sierżancie? Nie powiedziałem. Usłyszał pan tylko pewną historię, o której by się pan sam dowiedział z czasem. Wydaje mi się, że pan nie uchwycił najważniejszego punktu w tej sprawie.

— Jakiż to punkt, do diabła?

— Że kobieta nie może mieć dwóch mężów. Hilda poślubiła Toma Doanes, upewniłem się co do tego.

— Czyli bigamia?

— Tak. To jest przestępstwo, prawda? Myślę, że czeka pana przykra powinność, sierżancie...

Niedługo potem Hilda, która śledziła z okna poruszenia sierżanta, zobaczyła, że wyszedł od Georgea i skierował się do jej domu.

* * *

Tom Doanes przez kilka dni miał wiele roboty zajmując się małą Roanną, naradami z adwokatem i szukaniem pieniędzy potrzebnych dla zapłacenia kaucji za czasowe zwolnienie żony. Gdy Hildę wypuszczono i przyprowadził ją do domu, rzekł: — Pójdę teraz do tego łobuza i zatłukę go!

— Nie chodź tam! — błagała Hilda. — Mamy już dość przykrości!

— Ale na miłość boską, czego on chce jeszcze od nas? Dlaczego nie zmierzy się ze mną otwarcie? Jak długo mamy pozwalać mu na wszystko?

Zbliżył się do okna, podniósł żaluzje. W pokoju na przeciwko sterczała szubienica, pod nią siedział George z książką w ręku. — Patrz, Hildo, jest ciągle tam!

Hilda spuściła żaluzje. — Nie będziemy wyglądali tym oknem, rozumiesz?

Przez kilka wieczorów trzymali się z daleka od okna, choć ich wyobraźnia pracowała: co on tam robi? I tak nadszedł wieczór, gdy zatelefonowała Berta. — Mój Boże — jęczała — wygląda jak Roanna... Wezwano policję... Biedna Hildo!

Hilda pobiegła do okna, odsunęła żaluzje i zaczęła krzyczeć. Na szubienicy kołysała się figura dziecka w różowej piżamce. Przed domem rosła grupa ciekawych. — Roanna! — wołała Hilda. — Tom, patrz! Zabrał nam dziecko!

Tom wybiegł z jadalni i wrócił za chwilę. — Byłem na górze, Roanna jest w swym pokoju. Uspokój się, to nie jest nasze dziecko! To lalka, przyjrzałem się z bliska. Pójdę tam, zatłukę go, nie pozwolimy się dłużej torturować!

Pobiegł przez ulicę i zapukał do drzwi wejściowych. George wstał i otworzył. Potem cofnął się o krok i wszyscy mogli usłyszeć jego słowa: — Nie pozwalam panu wejść do mego domu!

Tom odepchnął go i wpadł do mieszkania. Uderzył go pięścią, George upadł. Tom podniósł nogę, żeby go kopnąć, gdy nagle George wyciągnął rewolwer. Rzekł spokojnie: — Czekałem na ciebie. — Strzelił. Gdy Tom upadł, strzelił jeszcze trzy razy. Potem usiadł w fotelu i czekał na policję...

Wszystko poszło według planu Rabera. Ludzie stojący na ulicy widzieli każdy moment sceny, która się rozegrała. I tak świadczyli w sądzie: Tom go zaatakował w jego własnym domu, musiał strzelać.

Obrona konieczna — orzekli sędziowie przysięgli.

A. S.

Lewym okiem

DZIWNE SZPROTKI

Przed półtora rokiem zginął na ringu — a zwyczajnie mówiąc: został na ringu zabity — siedemnastoletni boser z Łomży, Zbigniew Kopański. W „Kulturze" pisano wtedy, że jest to po wojnie d z i e w i ą t a śmiertelna ofiara w naszym kraju. Podyskutowano wówczas w paru pismach na temat boksu, jego walorów wychowawczych, sportowych, antywychowawczych. Na razie boksujemy się dalej, a gdyby tak zapytać fachowca od tych spraw, na pewno wyliczyłby multum dalszych wypadków zatłuczenia ludzi pięściami na ringach całego świata, przy frenetycznym aplauzie publiki. Zupełnie jak w Quo Vadis".

Elegancja i opiewane nieraz dżentelmeństwo tak zwanych prawdziwych sportowców okazują niekiedy nagle swoją niezwykłą dziwność. To jest bardzo dziwne dżentelmeństwo. No proszę, zapowiadają się na przykład rozgrywki półfinałowe o mistrzostwo bokserskie Polski, w których łódzcy pięściarze nie rokują większych szans. Łódzki Prochoń ma walczyć z mistrzem Europy Tomczykiem, łódzki Filipiak z Trelą. Obaj Łodzianie zdaniem znawców nie sprostają swym przeciwnikom, o czym z góry donosi sprawozdawca sportowy „Dziennika Łódzkiego". Chociaż — zaraz. Jeszcze mamy szansę. Pisze sprawozdawca — cytuję: „Może Tomczyka nie dopuści do walki lekarz? Może rozchoruje się Trela, ale raczej nie należy liczyć na tego rodzaju niespodzianki, które utorowały drogę naszym reprezentantom do spotkań finałowych"...

Co tam marzyć proszę kibiców! Ten uparty Trela pewno nie zechce się rozchorować, a Tomczyk na złość będzie przez lekarza dopuszczony. Szkoda naszych reprezentantów, tak by ślicznie weszli do finału, gdyby Trela zachorował!

To była notatka z 4 września. Już następnego dnia ten sam sprawozdawca donosi o przegranej Pochronia i Filipiaka. Jasny gwint, że też nie ma grypy na tego Trelę! Jasny gwint, jaki to dziwny ten sportowy duch „Dziennika Łódzkiego"! Czy może ściślej: ten bokserski duch...

Dziwne są też wędzone szprotki. Specjał całkiem przecież niewyszukany, a mający wielu przysięgłych amatorów, wraz z niżej podpisanym. Ba, wędzenie szprotek jest też nieopłacalne. Mówię, „też", bo jakoś ostatnio czego bym się nie tknął, to mi tłumaczą że nieopłacalne. Pisze więc „Dziennik Łódzki", że na wybrzeżu wędzeniem szprotek trudnią się prawie wyłącznie prywatni przedsiębiorcy — o, i na tym właśnie polega dziwność banalnych z pozoru rybek. W rękach prywatnego przedsiębiorcy zaczynają nagle być opłacalne! Mimo, że to właśnie prywaciarz na byle parę procent zysku się nie puści, on musi dużo, jemu się musi solidnie opłacać! Co by tu zrobić, żeby szprotki natchnąć duchem planowej, wielkoprzemysłowej gospodarki, żeby się nagięły do wskaźników, żeby się stały rentowne także dla przetwórni uspołecznionych, a jeśli nie — to chociaż dla uspołecznionego handlu?

Co by tu zrobić, żeby łódzka poczta wykazała należyte zrozumienie dla pomysłów redaktora W W z „Dziennika Łódzkiego", który skarży się, że inne miasta uruchomiły już różne usługi telefoniczne — jak informacje kolejowe, autobusowe, informacje o repertuarze teatrów, kin itp., — a w Łodzi nie można się doprosić uruchomienia... telefonicznych horoskopów na najbliższy tydzień? Dlaczegóż to Cyganki pod Dworcem Fabrycznym mogą wróżyć z ręki, a łódzka poczta nie może wróżyć z telefonu?

Notatka nie jest z pierwszego kwietnia, tylko z 7 września. Ani żart, ani satyra. Redaktor WW domaga się horoskopów, bo to oryginalny łódzki pomysł. Inni ubiegli nas pomysłami o telefonicznym rozkładzie jazdy i o repertuarze kin, a my nie gorsi, my mamy koncepcje oryginalne, własne, i niedobrze jest, że się ich nie realizuje!

Święta prawda! Zanim będziemy mogli zawiesić telefon we wszystkich potrzebnych miejscach, zanim automaty zaczną naprawdę działać, zanim zwykła rozmowa przez telefon stanie się zwykłą rozmową, a nie wrzaskiem przerywanym głuchą ciszą, zanim będziemy mogli naprawdę zasięgnąć informacji przez telefon o potrzebnym pilnie numerze, o hotelach, pociągach, samolotach, o dokładnym czasie i o tysiącach innych nudnych spraw, zajmijmy się tymczasem telefonicznym przepowiadaniem przyszłości, stawianiem horoskopów, typowaniem szczęśliwych kamieni, liczb, dni tygodnia. Czeka cię podróż z blondynką, ale w piątek się nie decyduj. Ruda zazdrości!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastęp ca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres red akcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopi sów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1959. S-5.